AS



NR. 9.
KWIETNIA 1935 R.

WIOSENNA ORKA...

Z GALERJI PAŃ POLSKICH.

I.

W MINJATURACH K. DĄBROWSKIEJ.



JANUSZOWA KSIĘŻNA RADZIWIŁŁOWA.



MINISTROWA JANINA KALIŃSKA.



MARJA HR. POTOCKA.



Z KS. RADZIWIŁŁÓW JÓZEFOWA HR. POTOCKA.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy.

Numer 9 **Niedziela 28 kwietnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 9-GO:

Fot. New York Times.

Fabryka armat amerykańskiej marynarki w Waszyngtonie pracuje pod „pełną parą". Na zdjęciu: Jedna z hal fabryki, z przygotowanemi do montażu na wieżach pancerników lufami 16-ctm. dalekonośnych dział.

RZĄDZI NAMI „MASZYNA PIEKIELNA"...

Jean Cocteau. Nazwisko to „obiło się" o uszy wielu, gdyż Teatr Nowy w Warszawie gra wciąż niezwykle ciekawy, chwilami niesamowity, utwór tego poety francuskiego. „Maszyna piekielna", to bodaj czy nie jedyne dzieło wielkiego poety współczesnego Francji, jakie poznało polskie społeczeństwo. A Jean Cocteau, to poeta z krwi i kości, poeta ciekawy, wszechstronny, twórca zarówno nowych kierunków poetyckich, jak i subtelnych poezyj, wstrząsających utworów dramatycznych i awangardowych filmów, wreszcie autor piosenek, obrazów, rysunków, karykatur... A wszystkie te dzieła Jean Cocteau są przepojone prawdziwą poezją i niezwykłym artyzmem.

Trudno poznać całą twórczość Jean Cocteau i trudno ją też

U dołu: Poetycki symbol ostatniego filmu J. Cocteau.





„Maszyna piekielna" — Jean Cocteau w Teatrze Nowym w Warszawie. Oślepłego Edypa (Wyrzykowski) prowadzi duch jego matki Jokasty (Broniszówna) i córka Antygona.





Na lewo: Czarny anioł w filmie „Życie poety" J. Cocteau. U góry: Damięcki jako duch króla Lajosa w „Maszynie piekielnej" w Teatrze Nowym w Warszawie.



Scena z „Maszyny piekielnej" w Teatrze Nowym w Warszawie. W głębi — pies Anubis (Wierciński) na pierwszym planie królowa Jokasta i król Edyp.

ocenić. Jedni mówią o tym poecie, że jest genjalny, inni nie uznają go i wygwizdują jego utwory. Trzeba być wybitnym intelektualistą (a rozum, intellekt jest bożyszczem współczesnych dni i współczesnej kultury), a przedewszystkiem artystą i poetą w swych estetycznych zainteresowaniach i uczuciach — by poznać i uznać wielkość tego poety.

Piętnaście lat miał urodziwy Cocteau, gdy stał się ulubieńcem Paryża, wodzem ruchu intellektualnego i poetyckiego. Wszędzie go było pełno, wszystko rewolucjonizował. Roznosił go temperament poetycki; ten sam temperament poetycki i życiowy przekształcił poetycką młodzież i pchnął ją na drogę postępu, na drogę nowych poszukiwań artystycznych, które są przecież celem naszego życia.

Cocteau chwytał życie „na gorącym uczynku", z życia czerpał całą swą twórczość, twórczością chciał przeobrazić życie. A celem do tego była mu sztuka: teatr, film, książka, obraz...

Życie jednak przyniosło rewolucję wielkiej wojny. Mord i przestępstwo zmieniły życie, a nie piękno, poezja i sztuka.

Poeta Cocteau poczuł się osamotniony. Życie zburzyło jego ideały. Rzeczywistość nie pozwoliła mu wierzyć, kazała rozpaczać. Sławiony we wszystkich kulturalnych zakątkach świata poeta uznał, że sława jego jest bezcelowa.

W pełni jest sił, czterdzieści lat liczy, a już najbujniejszy okres życia ma za sobą. Dręczy go zagadka, co będzie dalej?
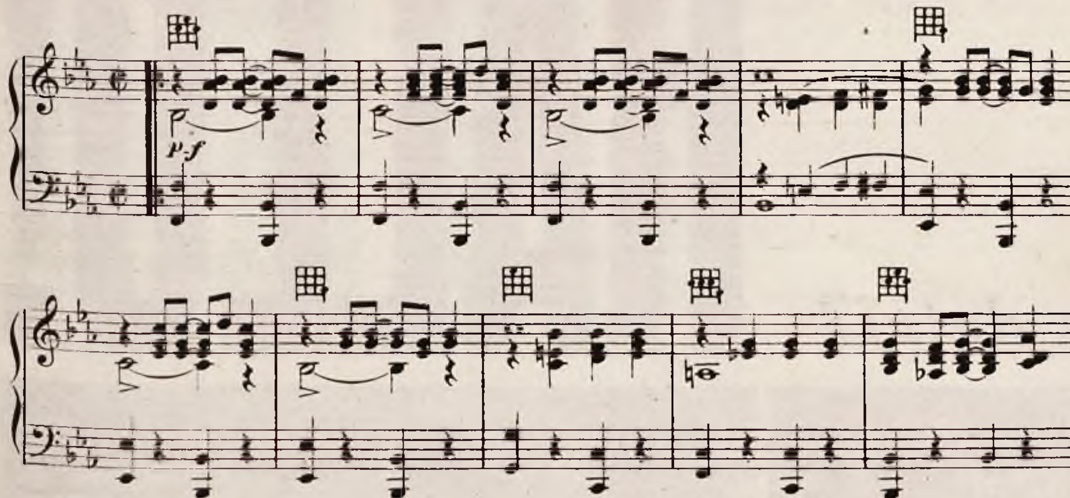
Życie nasze — to „maszyna piekielna", nieubłagany los, pisany nam przez bogów, przed którym nikt uciec nie potrafi, którego nikt i nic zmienić nie zdoła. O tem, o niewolnictwie człowieka w szponach lichwiarza-Losu mówi pięknie poetycka tran-



„Kulisy" — rysunek J. Cocteau. Pierwszy od lewej Leon Bakst, trzeci od lewej S. Djagilew, na krześle siedzi sławny tancerz rosyjski, Niżyński.

skrypcja mitu o Edypie, owa „Maszyna piekielna", grana obecnie w Warszawie.

O tem mówią przedewszystkiem dwa niesamowite filmy Jean Cocteau, nieznane jednak w Polsce. Jeden film, to „Życie poety". Film ten nie ma scenarjusza, bo go i nie potrzebuje. Cocteau stworzył własną technikę konstruowania filmów. „Krew poety", który jest także dokumentem nowych technicznych odkryć w zakresie kinematografji. W filmie tym symbol poety Cocteau, szarpany rozpaczą, zamyka okno na świat, zatarasowuje wszystkie wyjścia ze swego pokoju, zatyka nawet wszelkie szpary w ścianach: życie poety jest już tylko długiem samobójstwem...



Początkowe takty refrenu — charlestona p. t. „Miss Annabelle Lee". Kompozycja: Sidney Clare, Lew Pollack i Harry Richman



Jean Cocteau.

Wstrząsające są sceny, gdy poeta biegnie jakby w atmosferze snu a towarzyszą mu jego serce, które biją i oddech burzy. Obie te towarzyszki nie robią wrażenia zjawisk widzialnych lub słyszanych z zewnątrz, lecz są wyrażone tak, jak je sam poeta musi widzieć i słyszeć. Drugi flim, to

Te nuty dekadenckiego pesymizmu są zapewne chwilowe. Cocteau bowiem jest wielkim — przypomnijmy to jeszcze raz sobie — poetą. Poeci po chwilach melancholji wybuchają zwykle nowym ogniem.

(swb).

SŁUŻĄCA ★ ANNA

JEAN COCTEAU przełożył: Witold Zechenter.

Jean Cocteau wznawia w swym wierszu tajemniczą postać narzeczonej z opowieści Edgara Poe, niesamowitą córkę generała wojsk południowych i bohaterkę znanej amerykańskiej pieśni jazzbandowej, miss Annabelle Lee, która umiera również i w poezji francuskiego autora.

O, mademoiselle! o, mademoiselle!
mademoiselle Annabel,
mademoiselle Annabel Lee!
od kiedy śmierci sen cię zmorzył,
jeszcze piękniejsza jesteś ty!
Co wieczór stajesz przy mem łożu
wszedłszy bez otwierania drzwi,
mademoiselle, mademoiselle,
mademoiselle Annabel Lee!

Za dobrą niewątpliwie byłaś,
za dobrą i za piękną nawet.
Kwiatów niby na ołtarz znoszono ci wiele.
Ja byłam Anną, co służyła,
Anną, służącą w hotelu.
Byłaś piękna i uprzejma stale
(a może nawet za uprzejma tak).
Największy apartament właśnie miałaś ty —
aż to się stało — nie wiem nawet jak...

Tak. Jeśli ktoś zadzwonił — ja musiałam iść.
Zadzwoniłaś na mnie w nocy
jak inni — i nie byłam dosyć
w mojej zgryzocie zmęczona,
aby... wkońcu... aby zamordować!

My pracujemy i umiemy spać —
tyle schodów! tyle korytarzy —
lecz ty musiałaś leki brać,
ażeby we śnie marzyć.
„Anusiu... dziesięć kropli mi tu daj —
dziesięć — nie więcej..." — Ja wszystko wylałam —
zamordowałam!!

Byłaś blondynką — ja byłam ruda.
Byłaś za piękna, za cudna,
mnóstwo osób przyjmowałaś mile,
a pieniędzy wydawałaś tyle!
i twe pielęgnowane brwi —
paznokcie twe — twój sex-appeal!

O, mademoiselle! o, mademoiselle!
mademoiselle Annabel,
mademoiselle Annabel Lee!
od kiedy śmierci sen cię zmorzył,
jeszcze piękniejsza jesteś ty!
Co wieczór stajesz przy mem łożu
wszedłszy bez otwierania drzwi,
mademoiselle, mademoiselle,
mademoiselle Annabel Lee!

Sądzisz, że mnie posądzą oni?
może policja? lekarze?
Jestem Anna — to na mnie się drzwoni —
gdzieindziej tropią za zbrodniarzem!
Lecz książęta twoi i hrabiowie,
co na klęczkach modlili się tobie —
z nich nikt się więcej już nie liczy!
między nami tylko tajemnica!

Myślisz, że przywyknę tej męce?
Nigdy. Jutro przyjdzie znów.
Istotnie, nie zabija dusza —
tym winnym — są nasze ręce.
„Dziesięć kropli, Anusiu, daj mi tu"...
Ja wylałam wszystko z flakonu!
Ach, to mnie nudzi już, nie wzrusza —
skończę z tem — rzucę się z balkonu...

A pogrzeb... Wiecie, jak kosztuje wiele?
do jakich cen dochodzą orchideje?
Miała jachtem na Jawę płynąć szlakiem mórz...
szlakiem mórz — — —
(słychać dzwonek)
Idę już! idę — już!!

HALLO!

Czy mówi się dalej?



Pierwsze regaty londyńskiego „Jacht-Klubu“ na Tamizie pod Teddington. Fot. Keystone.



Grupa pięknych Hiszpanek w charakterystycznych strojach, w drodze na Rezurekcję. Fot. Keystone.

— Hallo — czy to mieszkanie pana Henryka? Tu biuro zleceń... Zawiadamiamy pana, że z dniem dzisiejszym zainstalowaliśmy u pana aparat telewizyjny — może pan otrzymać połączenia *ze wszystkiemi miastami Europy*. Również wszelkie zlecenia — wykonywać będziemy przy pomocy telewizji... Polecamy się pamięci...

Henryk zawiesił słuchawkę. Biuro zleceń! Pamięta je dobrze... Przez nie właśnie stracił posadę, kredyt w kasie, narzeczoną i przyjaciółkę... Ha — może z tą telewizją będzie lepiej. Wypisał więc kilkanaście zleceń na dzień następny i posłał je do centrali telewizyjnej. Następnie położył się spać. Przy łóżku — znajduje się aparat telefoniczny i mały ekranik. Budzika nie nakręcił. Poco — nie spóźni się na pociąg, bo przecież „biuro zleceń“ go obudzi.

Pociąg odchodzi o godzinie ósmej rano.

Godzina dziewiąta rano. Dzwonek telefonu. Głosik telefonistki.

— Budzę pana... w kolorze...

Henryk spojrzał na zegarek. Pociąg odszedł przed godziną.

— Proszę pani — kazałem się obudzić o godzinie 7-mej.

— Nie miałam serca... pan tak smacznie spał... taki piękny równy oddech, położył pan parę swych arystokratycznych rąk na swej atłasowej kołdrze...

— Skąd pani to wie... co to ma znaczyć?

— Jakto — mamy przecież telewizję. Widzę wszystko co się u pana dzieje. Jaką ładną ma pan pidżamkę... panie Henryku...

— Niech pani w tej chwili zamknie ekran — proszę mnie nie podglądać...

— Ależ niech się pan nie denerwuje. Od chwili wprowadzenia telewizji niema już życia prywatnego. Niech się pan ogoli... ale pan ma zardzewiałą żyletkę...

— Proszę pani — ja zrobię zażalenie do dyrekcji poczty — co to wszystko ma znaczyć?

— Będę się panem opiekować na każdym kroku...

Henryk machnął ręką. Podszedł do lustra.

— Oczy ma pan podkrążone... co pan robił wczoraj... znowu pan pił?

— Proszę pani... bo rozbiję ekran... jak pani śmie mnie podglądać? Ale dobrze, jeśli pani wszystko widzi, to niech mi pani powie, gdzie jest moja spinka?...

— Leży na dywanie koło łóżka...

— Dziękuję pani... A jednak ta telewizja nie jest zła.

— A może pan chce teraz dowiedzieć się, co się dzieje w świecie? Przy śniadaniu nadamy najświeższe wiadomości. Więc już się pan ubrał. Teraz proszę przejść do jadalni i usiąść grzecznie przy stole.

Henryk posłusznie spełnił rozkaz. Stał się już niewolnikiem telewizji. Z małego ekraniku patrzyły nań oczy, wyrażające energję. Nie mógł się im sprzeciwić.

Hallo — hallo — tu najnowszy dziennik telewizyjny — przynosi najświeższe wiadomości z całego świata. Nadajemy dziś transmisje w obrazach i słowie z Warszawy, Chicago, Berlina i Genewy. Cztery transmisje jednocześnie — co trzy sekundy jesteśmy w innym punkcie kuli ziemskiej. Uwaga zaczynamy!

WARSZAWA. Przed Izbami skarbowemi stoją tłumy publiczności, wpłacającej dobrowolnie podatki.

CHICAGO. Pieniądze albo życie — zawołał gangster w masce...

GENEWA. Rada Ligi Narodów postanawia potępić Niemcy za wprowadzenie powszechnego obowiązku służby wojskowej.

BERLIN. Obywatele — za chwilę ukaże się w oknie kanclerz, obchodzący dziś 46 rocznicę urodzin...

CHICAGO. „Ręce do góry“ — albo strzelam...

BERLIN. Przyboczna gwardja podniesieniem rąk do góry wita wodza.

WARSZAWA. Za chwilę pokażemy państwu, jakie korzyści odniesie państwo z nowej pożyczki. Hallo... hallo... nie, przepraszamy za pomyłkę — w ostatniej chwili zmieniono program. Przenosimy się teraz do komnat zamkowych, gdzie właśnie odbywa się raut z okazji podpisania nowej konstytucji, gwarantującej prawa obywatelskie najszerszym masom...

GENEWA. „Odbieram panu głos“, zawołał gniewnie przewodniczący Rady Ligi Narodów... Stosunki w Europie układają się coraz pomyślniej...

CHICAGO. Nikt nie jest pewnym ani dnia ani godziny — ze wszystkich stron grozi nam...

BERLIN. Hitler... Hitler... Heil Hitler —

HALLO!

Czy mówi się dalej?



Artur Rubinstein (x) i jego żona po przybyciu do Tokio, entuzjastycznie witani na dworcu kolejowym przez japońskich muzyków.
Fot. Keystone.



Pawilon komunikacyjny na wszechświatowej wystawie w Brukseli, w którym umieszczono modele wszystkich nowoczesnych pociągów.
Fot. Keystone.

woła rozentuzjazmowany tłum na widok kanclerza, który ukazał się na balkonie. Na jego widok...

WARSZAWA. Armaty oddały sto jeden strzałów, a tłum...

CHICAGO. Tłum począł uciekać w popłochu, widząc przed sobą najgroźniejszego w Chicago następcę Al Capone'a, który...

GENEWA. ...potrafi wstrzymać rozlew krwi i doprowadzić do ogólnego rozbrojenia...

CHICAGO. ...policji, która mężnie stanęła po stronie sprawiedliwości i...

BERLIN. ...Hitlera, otoczonego tłumem dostojników...

GENEWA. Pokój europejski opiera się na...

BERLIN. ...w bagnetach Reichswehry przegląda się wiosenne słońce, które śmieje się...

WARSZAWA. ...z najnowszych zarządzeń magistratu warszawskiego podnieść należy projekt budowy domu wycieczkowego, w którym znajdą schronienie tysiące...

BERLIN. ...Żydów wypędzonych z Niemiec karzącą dłonią kanclerza za akcję przeciwko państwu i za szerzenie fałszywych wiadomości o...

GENEWA. ...o pokojowem stanowisku Niemiec, jesteśmy najgłębiej przekonani...

* * *

Henryk chwycił się za głowę.

— Przerwać, przerwać — zawołał — co się ze mną dzieje...

— Niech pan się nie przeraża — to jest właśnie obraz świata — pokazaliśmy panu tylko cząstkę tego, co się dzieje na swiecie. Co, może pan chce zobaczyć spokojne regaty jachtów na Tamizie — tam w Anglji panuje błogi spokój. Król Anglji niedługo będzie obchodził jubileusz — dwadzieścia pięć lat pracy dla państwa — ani razu nie pokusił się o sięgnięcie po władzę... to coś znaczy. A może chce pan zobaczyć, panie Henryku, Wielki Tydzień w Sewilli? — Pokażemy panu wszystko na naszym ekranie... A może pan chce zobaczyć wystawę w Brukseli... lub gorące przyjęcie Rubinsteina i jego pięknej żony w Tokio?...

— Dziękuję pani bardzo — narazie mam dosyć telewizji — spać nie będę mógł z nadmiaru wrażeń...

Henryk odszedł od aparatu telewizyjnego. Pukanie do drzwi. Wchodzi służąca.

— Proszę pana, przyszedł pan Rosenberg, upomina się o pieniądze...

— Niech wejdzie...

Wchodzi Rosenberg. Jest zdenerwowany.

— Panie H. — kiedy ja zobaczę u pana jakieś pieniądze?...

— Bagatela... Hallo — czy centrala telewizyjna — proszę o puszczenie mi na ekran skarbca Banku Angielskiego... Panie Rosenberg — niech się pan patrzy... no co? widzi pan pieniądze... niech się pan napatrzy, prędko już pan u mnie nie zobaczy tylu pieniędzy... Co wystarczy panu?

— Pan jest blagier... dowidzenia panu... idę zaraz pana zaskarżyć.

— Och, niech się pan nie trudzi... hallo, czy centrala telewizyjna? Proszę o puszczenie na mój ekran widoku archiwum sądu cywilnego. Panie Rosenberg — niech pan patrzy. Widzi pan te stosy aktów — te wszystkie akty czekają na załatwienie — to są przeważnie skargi przeciwko mnie... chce pan czekać... to niech mnie pan skarży

— Ja się pójdę poskarżyć pańskiemu szefowi.

— Och, niech pan nie ryzykuje... hallo — czy centrala telewizyjna? Proszę o puszczenie na ekran biura mego szefa... o widzi pan tego ciężkiego atletę... to woźny. Ma takie muskularne ramiona. A obok tego psa, który szczerzy zęby... oni już mają polecenie odemnie... niech pan idzie...

— No więc dobrze, ale kiedy mi pan odda?...

— Hallo — zaraz pan zobaczy — centrala telewizyjna — proszę o puszczenie na mój ekran widoku redakcji „Króla kier". O, widzi pan — z tej redakcji dostanę pieniądze... właśnie złożyłem tam rękopis mej powieści...

Ale Rosenberg jest mądry. Podchodzi do aparatu telewizyjnego. Chwyta słuchawkę i woła.

— Hallo — centrala telewizyjna — proszę o puszczenie na nasz ekran kosza redakcyjnego w redakcji „Króla kier".... Panie Henryku — no co? widzi pan? Kosz — a w koszu pańska powieść... a gdzie są moje pieniądze?...

Henryk nie stracił rezonu. Chwycił słuchawkę i zawołał:

— Proszę o puszczenie na mój ekran domowy — widoku księżyca...

Rosenberg machnął ręką i wyszedł.

— Niech żyje telewizja — krzyknął uradowany Henryk.

MIKROFON.

PRZEPYCH WIOSNY NAD JEZIOREM LUGANO.

Deszcz siąpi, jest szaro i nudno, a zieleń drzew wyłania się nieśmiało z pod brunatnych skorupek pąków. Mimo to odczuwamy już pęd do wyfrunięcia na łono bujniejszej przyrody, do skąpania się w potokach słońca, do szumu drzew leśnych i fal morskich. A jeżeli nie możemy wskutek niepomyślnych warunków opuścić warsztatów pracy biurowej, czy domowej, to bodaj w wyobraźni pozwólmy sobie na piękną podróż na południe, która może, może, stanie się rzeczywistością...

A więc dokąd? Szukamy słońca i romantycznej ciszy? W takim razie wyjedźmy nad najpiękniejsze z jezior, nad Lugano w północnych Włoszech. Tam wiosna pyszni się już w całej pełni swoją krasą. Drzewa tryskają białem i różowem kwieciem, stoki wzgórz opływają szmaragdem pierwszej zieleni. Cały ten przepych wiosny usadowił się w tak pięknej okolicy, że Anglicy, którzy przyjeżdżają tutaj stale — a można im ufać, jeżeli chodzi o wybór miejscowości wypoczynkowej, gdyż jest to naród wytrawnych turystów, mogą być zadowoleni ze zmysłu artystycznego dobrego Boga. — Góry ugrupowane są tak malowniczo nad wijącem się wśród nich jeziorem, że przechadzka wzdłuż wybrzeża dostarcza coraz to nowych, zachwycających niespodzianek wzrokowych. Bezpośrednio ze zwierciadła wód wyrasta góra Monte Salvatore. Kilka minut przechadzki, a scenerja zmienia się. Na tle szafiru niebios zarysowuje się sylwetka góry, przypominającej popiersie kobiety. Lasy, parki, skąpane w słońcu wybrzeże niby złoty obrąbek zielonej, aksamitnej szaty, wykazują w całej pełni zdolności reżyserskie Boga nad jeziorem Lugano.

Lecz i tubylcy nie przesiedzieli wieków z założonemi rękoma. Z migotliwym blaskiem gwiazd konkuruje zwycięsko powódź świateł na ziemi. Całe miasto tryska jasnością, fosforyzuje oświetleniem al giorno. Zarysy domów są obrzeżone girlandami elektrycznych żarówek, a nawet kościoły wykazują swe romantyczne piękno w świetle elektrycznem. Tak wygląda Lugano podczas uroczystości, które tutejsza, pełna radości życia ludność obchodzi przy lada okazji.

Tak, tak — Anglicy, to ludzie praktyczni. Wiedzą, co dobre i umieją zagarnąć je dla swojej korzyści. Zagarnęli też Lugano razem z jego uroczemi promenadami na wybrzeżu i w parku, z elektrycznemi kolejami i miniaturowemi parowcami, kursującemi na wyścigi z łodziami motorowemi, z samochodami pocztowemi, boiskami sportowemi. Turyści angielscy zwiedzają wszystko, co tylko jest godne zwiedzenia, przynajmniej w ich pojęciu. Nie darują żadnej najniepozorniejszej ruinie, nie oszczędzą żadnego wzgórza, chociażby było najniedostępniejsze. Lugano jest włoskie, lecz w sezonie wiosennym, letnim i jesiennym czyni wrażenie, jak gdyby zagarnęli je w posiadanie Anglicy. Najczęściej są to młode pary angielskie w podróży poślubnej.

Może to szczęście nowożeńców — Lugano znane jest jako cel wycieczek młodych par w podróży poślubnej — promieniuje również na okolicę, podobnie jak zawsze uśmiechnięte słońce, zawsze szczodra przyroda. Może — fakt bowiem, że jest tutaj zawsze radośnie i wesoło i to — śmiało rzec można — bez względu na porę roku. Lato niesie kojący powiew od jeziora i rozkoszny chłód od wyniosłych gór. Jesień kąpie się w dojrzałej zieleni, złocie i purpurze więdnących liści. Zima daje przyrodę czystą, jak gdyby uporządkowaną, pokrywającą się od czasu do czasu całunem skrzącego się w słońcu śniegu. Lecz najpiękniejsza, najczarowniejsza jest młoda, tchnąca pierwszą zielenią wiosna, napełniająca powietrze balsamicznemi woniami. Ta pora roku nad Lugano rywalizuje zwycięsko z wiosną w całych Włoszech. Jeszcze słońce jest nieśmiałe, lecz już pieści spragnionych jego ciepła i leczy tych, którzy przybyli tutaj po zdrowie.

Lugano jest także królestwem młodzieży, która oddaje się tutaj chętnie wszelakim sportom. Tak pięknych placów tenisowych i golfowych, tak doskonale urządzonych boisk footballowych nie spotyka się nigdzie. Toteż powietrze rozbrzmiewa od triumfalnych okrzyków zwycięzców i trwożnych głosów pobitych. A z terasy katedry, której portal jest prawdziwem arcydziełem sztuki i architektury, spogląda z łagodnym uśmiechem biskup tutejszy i nie gniewa się nawet o to, gdy rozzuchwalona młodzież zamienia na prowizoryczną bramkę dwa posągi kobiece, flankujące wejście na taras.

Tylko pod jednym względem jest biskup tutejszy nieubłagany: zabrania wstępu do katedry kobietom w sukniach bez rękawów, lub z krótkiemi rękawkami. Toteż turystki, pragnące zaznajomić się z wnętrzem katedry, są mocno niezadowolone, gdy muszą podczas skwarnych dni letnich ubierać się w suknie, osłaniające wstydliwie ich ramiona. Biskup powołuje się na przykład Michała Archanioła, który wypędził Ewę z raju, bo była nieokryta. Lecz wnętrze katedry jest tak piękne, że turystki poddają się bez szemrania temu rygorowi.



Powódź pachnącego kwiecia nad Lugano





U góry: Widok na jezioro i okolicę Lugano. Na lewo: Kwitnące krzewy magnoljowe w parku w Lugano.

do kresu złudy

JULJUSZ MIEROSZEWSKI

N O W E L A

ILUSTROWAŁ CHARLIE

W numerze 8 „Asa" rozpoczęliśmy druk wysoce emocjonującej noweli znanego autora Juljusza Mieroszewskiego p. t. „Do kresu złudy".

Treść pierwszej części noweli przedstawia się następująco:

Paryska wytwórnia filmowa Colison ma wielki kłopot z Gruzinem, Pawłem Jusofem, który gra główną rolę w filmie „Mężczyzna nie przebacza". Oświadczył bowiem, że nie zagra w tym filmie, opartym o jego własne wysoce oryginalne przeżycia, ostatniej sceny, w której ma zabić własną żonę. Jusof opuścił Rosję po nieszczęśliwem małżeństwie ze Sonią, gdyż nie rozumiał jej, on potomek bogatej rodziny gruzińskiej, ona ideowa komunistka. Lecz i drugie małżeństwo nie dało mu szczęścia. Zrozpaczony dyrektor, Colison, któremu grozi spowodu przerwania nakręcania filmu bankructwo, prosi znanego psychoanalityka, dr. Gleowitza o radę. W tym samym czasie policja paryska poszukuje znanego szpiega-kobietę, znaną jako B. 17 i w tym celu aresztuje trzy kobiety, noszące nazwisko miss Wickerfield i jeżdżące za fałszywym paszportem. Okazuje się jednak, że żadna z nich nie jest poszukiwaną B. 17. Nakoniec do dr. Gleowitza przybywa pewna młoda, wykwintna dama, prosząc go o poradę i zaznaczając, że strona finansowa nie gra w tym wypadku żadnej roli.

Dalszy ciąg emocjonującej noweli znajdą Czytelnicy poniżej:

Gleowitz pochylił głowę, poprawiając coś na biurku.

Nieznajoma zgasiła papierosa i podniosła swe piękne oczy na lekarza.

— Chciałam się pana zapytać, czy nie podjąłby się pan, doktorze, wrócić mi utraconej miłości?

Gleowitz ściągnął lekko brwi. Luźne podejrzenia zaczęły się pomału zazębiać.

— Jak to łaskawa pani rozumie? — uśmiechnął się. — Wybaczy pani, ale przyznaję, że jestem trochę zaskoczony.

— Kochał mnie przed paru laty — podjęła spokojnie nieznajoma — pewien młodzieniec. Przez własną lekkomyślność utraciłam jego wzajemność. Powody są banalne i nie będę ich przytaczać. Wkrótce jednak przekonałam się, że jego miłość jest jedynym sensem mego życia. Porzuciłam wszystko: dom, rodzinę, ojczyznę — aby go odszukać i powtórnie zdobyć. Po dwu latach odnalazłam go tu, w Paryżu. Lecz cóż z tego? on już mnie nie kocha; inaczej przebudował swoje życie, zmienił się, pokochał inną kobietę. Jeśli to jest w mocy pana, wróć mi pan jego miłość! Opowiadają cuda o panu, profesorze. Przecież pan sam gdzieś napisał, że dopóki człowiek żyje, wszystko można jeszcze w nim naprawić i zmienić.

W gabinecie zapadło milczenie. — Pierwszy odezwał się doktór Gleowitz.

— Wątpię, czy istnieje na świecie człowiek, któryby potrafił zadośćuczynić pani żądaniu. Gdybym posiadał moc wskrzeszania wygasłych uczuć, byłbym dziś najbogatszym człowiekiem Francji. Mogę pani jedynie udzielić następującej rady: miłość powraca niekiedy równie niespodziewanie, jak odchodzi. Niech pani nie traci nadziei i osobistym urokiem, którego nie poskąpiła pani natura, stara się powtórnie zainteresować owego pana. To radzę pani jako doświadczony człowiek, psychoanaliza lekarska jest bowiem w tym wypadku bezradna.

— A sugestja? hypnoza? ten potężny wpływ, jaki pan wywiera na pacjentów!

Gleowitz rozłożył bezradnie ręce.

— Nie mogę się tego podjąć, łaskawa pani To nie leży w zakresie moich możliwości.

— Za żadną cenę? — zapytała nieznajoma, akcentując wyraźnie ostatnie słowo.

— Nawet za miljon dolarów — odparł Gleowitz — dobry lekarz musi być trochę kuglarzem, nigdy mu jednak nie wolno być oszustem.

— Trudno.

Nieznajoma podniosła się i wyciągnęła z uśmiechem dłoń do lekarza. Doktór Gleowitz odprowadził ją w milczeniu do drzwi gabinetu.

Zaledwie wspaniały Packard zniknął za zakrętem, do gabinetu doktora Gleowitza wszedł niski, szczupły pan w binoklach, z siwiejącą przystrzyżoną bródką.

Gleowitz powitał go w milczeniu, nie wstając z krzesła. Przybyły sprawdził czy drzwi są szczelnie zamknięte, przysunął sobie bliżej krzesło i usiadłszy wygodnie, zaczął mówić szeptem, nie poruszając prawie wargami.

— B 17. Każdy dzień jej życia oznacza dla nas niebezpieczeństwo, którego nie da się wprost określić.

Gleowitz bawił się rozkręcając swój automatyczny ołówek.

— Dlaczego nie zadenoncjujecie jej wywiadowi francuskiemu? — zapytał po chwili również szeptem.

Szpakowaty pan poprawił binokle i chytrze się uśmiechnął.

— Gdyby to było możliwe, nie czekalibyśmy na pańską radę, doktorze. Obecnie jest to lady Silvey, brytyjska poddana. Żaden rząd, a już najmniej francuski, palcem jej nie tknie.

— Czy to możliwe? — W głosie Gleowitza odbiło się wahanie.

Nieznajomy zmrużył swe szare oczy.

— Gleowitz! — pan wie, że my nie mylimy się nigdy.

— Kiedyż nastąpiła ta metamorfoza?

— Dwa lata temu. Wyjechała służbowo do Londynu. Tam z nami zerwała, poznała lorda Silvey i została jego żoną. Miała pracować dla nas w najwyższych sferach Londynu.

— No, a lord Silvey? — wtrącił dr. Gleowitz.

— To są pytania godne pensjonarki! — uśmiechnął się szpakowaty gentleman. — Lord Silvey umarł rzecz prosta w trzy tygodnie po ślubie, przepisawszy testamentarnie swój cały majątek na żonę. Dla agentki z naszej szkoły był to drobiazg.

Gleowitz zapalił cygaro i zapatrzywszy się w błękitny dym zamyślił się.

— No... a?

— Pan żartuje? Pół Scotland Yard'u strzeże jej osóby dzień i noc. To jest dziś miljonerka, a przytem doskonały fachowiec. Armja detektywów nie opuszcza jej ani na chwilę. Wątpię czy jest rewolwer, którego kula przebiłaby karoserję tego czarnego Packarda.

— A dlaczego nie możecie jej publicznie zdemaskować? Przecież taką rzecz da się przeprowadzić zupełnie anonimowo.

Pan w binoklach skrzywił się z niesmakiem.

— Ona zbyt dużo wie. Przemyśleliśmy bardzo dokładnie ten problem. Musi zginąć — proponujemy panu...

Gleowitz odłożył cygaro i ujął za słuchawkę.

— W którym hotelu? — spytał szeptem.

Szpakowaty pan dobrotliwie ujął go za rękę.

— Odłóż pan tę słuchawkę. Zaręczam panu, że ona już wie!

— Co wie? — żachnął się Gleowitz.

— Już dobrze wie, że pan jest dobrze z nami. Niema się co łudzić — drugi raz tu nie przyjdzie.

— Przesada, niemożliwe!

— Psstt! — nie podnoś pan głosu, a co do tego, że się nie mylę, przekona się pan osobiście. Więc załatwione Gleowitz...

Pan o przystrzyżonej szpakowatej bródce uśmiechnął się i na palcach wyszedł z gabinetu.

Po wyjściu gościa, Gleowitz dłuższy czas spacerował po swym ciemnym gabinecie. — W pewnym momencie podszedł do telefonu

i ujął za słuchawkę. Połączył się z hotelem Ritz.

— Hallo! — czy mógłbym mówić z lady Silvey?

Nie pomylił się: lady Silvey rzeczywiście stanęła w tym hotelu.

— Dr Gleowitz — powtórzył portjer — zaraz... wprawdzie lady Silvey przyjmuje tylko między 4 a 5 popołudniu, lecz spróbuję...

Po kilku minutach lady Silvey stała przy aparacie.

— Hallo — tu dr Gleowitz. Przypadkowo mój służący wdał się w rozmowę z pani szoferem i dzięki temu udało mi się panią odszukać. Rozmyślałem wiele nad pani oryginalną sprawą i możeby dałoby się coś zrobić...

W telefonie zabrzmiał szczery kobiecy śmiech.

— Ależ to już niepotrzebne doktorze! Wszystko jest na jak najlepszej drodze i sądzę, że dam sobie świetnie radę. Pan wybaczy, że pana trudziłam, ale zakochana kobieta... zresztą czułam się dziś bardzo zdeprymowana. Pan rozumie doktorze! — dziękuję, dziękuję najserdeczniej!

Gleowitz odłożył słuchawkę. Pan o szpakowatej bródce nie pomylił się. O osobistem zetknięciu z lady Silvey nie miał już co marzyć.

— — — — — — — — — — — —

Odkąd dr Gleowitz pojawił się w IV. pawilonie wytwórni filmowej Colison et Co., zapanowały tam dziwne stosunki. Na drzwiach wiodących do studio No IV. przybito tabliczkę z krótkim i lakonicznym napisem: „Wstęp wzbroniony!“, a portjer Duboisier otrzymał rozkaz niewpuszczania absolutnie nikogo. — Gleowitz przyjeżdżał swą ciemną limuzyną w towarzystwie de Rola i Colisona codzień o 10-tej rano i wyjeżdżał późnym wieczorem. Pawła Jusofa od tygodnia nikt nie widział. — Inspicjent Stamp utrzymywał, że z polecenia dra Gleowitza nie opuszcza on wogóle ani na chwilę IV. pawilonu. Duboisier nie dawał temu wiary. — Faktem niezbitym było, że w czwórce nie pracował żaden mechanik, ani żaden operator. Obywano się tam zupełnie bez personelu technicznego. Inspicjent Stamp twierdził uparcie, że Jusof zwarjował przy nagrywaniu ostatniej sceny, w której miał zamordować nożem swą partnerkę. Colison nie chcąc dopuścić do skandalu (zbyt wielkie były długi jego wytwórni!) zamknął go w czwartym studio, odizolował od świata i powierzył opiece Gleowitza. Jeżeli ten nie przywróci mu zdrowia, Colison zbankrutuje.

Duboisier sceptyczniej zapatrywał się na tę sprawę. Stamp był znany ze swej żyłki do sensacji; zbyt długo pracował w amerykańskich wytwórniach, które produkowały awanturnicze filmy z Harry Peel'em. I on jednak przyznawał, że jest mu zupełnie niezrozumiałe postępowanie szefów: Colisona i de Rola. Dr Gleowitza uważał osobiście za coś znacz nie mniej ważnego.

Technicy: dźwięk, światło, operatorzy — cały jednem słowem zespół potrzebny do normalnej pracy, zostali zwolnieni z zajęć aż do odwołania.

Zdaniem zarówno Stampa, jak i Duboisier'a, nie bez znaczenia był fakt, że co kilka dni do wytwórni przyjeżdżała pięknym Packardem elegancka dama, natarczywie dopytując się o Pawła Jusofa. Duboisier utrzymywał nawet, iż parokrotnie usiłowała go przekupić.


Zaczął się zmieniać w innego człowieka...

Studio IV mieściło się na wysokim parterze. Bezpośrednio do niego przylegał mały pokoik, obity całkowicie miękką materją. U góry w samym środku sufitu paliła się jedna mocna żarówka. Na fotelu w tenisowym ubraniu siedział Jusof. Obok niego z nieodłącznym cygarem de Rola. Gleowitz stał oparty o okno, z rękami w kieszeniach swej czarnej, welwetowej marynarki.

— Więc jeszcze raz Jusof! — odezwał się de Rola. — Odpocząłeś już?

Paweł uczynił zniechęcony ruch ręką.

— Chyba już dosyć! — conajmniej tysięczny raz każecie mi grać tę scenę.

— Dopiero pięćsetny pierwszy! — mruknął cicho Gleowitz.

— Więc uwaga! — zaczął po chwili Gleowitz z ożywieniem. — W jego głosie wibrował rozkaz i głębokie przekonanie. — Muszę z ciebie Jusof wykrzesać iskrę zapału — rozumiesz? Musisz tak zagrać, jakbyś zabijał naprawdę, a i to mało — jakbyś zabijał z najgłębszego przekonania!

W oczach Pawła Jusofa słowa Gleowitza rozniecily nieokreślony, tajemniczy błysk. — Z wzrokiem utkwionym w przestrzeń wstał z krzesła. W miarę jak się zbliżał ku środkowi pokoju, zaczął się zmieniać w innego człowieka. Plecy wygiął w elastyczny grzbiet przyczajonego rysia — przymrużone oczy zgodnie błysnęły z polerowaną stalą krótkiego noża, który wytrysnął z nieubłaganej, zaciśniętej pięści. Usta zwarł okrutny, twardy grymas.

De Rola spojrzał z uznaniem na Gleowitza

— Arcydzieło! — nie potrzebuję niczego więcej.

— — — — — — — — — — — —

— Zbliżamy się do epilogu — odparł Gleowitz.

Pan o szpakowatej przystrzyżonej bródce słuchał uważnie.

— Więc w czwartek o 4-tej po południu?

— Tak — potwierdził Gleowitz. — W czwartek, punktualnie o czwartej. Rzecz prosta, w razie potrzeby wpłynę na de Rola, aby trochę opóźnił pracę.

Powyższa rozmowa toczyła się w gabinecie dr Gleowitza, znanego psychoanalityka, 15-go kwietnia w środę, o godzinie trzeciej po południu.

Następnego dnia w wytwórni Colison et Co. zawrzało od wczesnego rana. Gwar, hałas, tłum mechaników, operatorów — inspicjent Stamp stracił zupełnie głowę. Chodziło o nagranie krótkiej sceny morderstwa, trwającej zaledwie kilka minut — o zdobycie ostatnich metrów filmu. De Rola był w doskonałym humorze. — Osobiście kierował wszystkiem — dwoił się i troił, nie zapominając o najmniejszym szczególe.

Gleowitz zdziałał cud. Paweł Jusof nietylko wyrzekł się miłości do Soni, ale zaakceptował dalszy ciąg scenarjusza, jako swój osobisty punkt widzenia na tę sprawę. — Pod wpływem Gleowitza — szczerze, z przekonania, zmienił swe dotychczasowe zapatrywania na własną miłość i jej dalsze losy.

— Wiesz, czuję się jak odrodzony! — mówił do de Rola. — Spadł mi kamień z serca. Ten Gleowitz wyperswadował mi uczucie, które w przyszłości stać się mogło moją zgubą. A oprócz tego obudził we mnie mężczyznę pragnącego odwetu. Ach! — nie wiesz nawet — ja oddycham tylko zemstą! Już nie rozpłynę się jak kłak waty w mętnej wodzie sentymentalizmu.

De Rola zdawał się słuchać tylko jednem uchem wynurzeń Pawła. Czynił wrażenie pochłoniętego pracą nad ostatniemi przygotowaniami. O 3.45 miały się rozpocząć zdjęcia.

Wszyscy gratulowali serdecznie Pawłowi szybkiego powrotu do zdrowia. Wobec jego normalnego wyglądu i świetnego humoru zdementowały się natychmiast plotki, które opowiadali Stamp i portjer Duboisier.

Już o 3.30 było wszystko gotowe. Inspicjent Stamp zacierał ręce, Alberta kończyła charakteryzację. Jusof uśmiechnięty czekał na znak de Rola.

Buchnęło oślepiające światło jupiterów. — Nad głową de Rola i nad aparatami ukazały się tabliczki z jednem krótkiem słowem: SILENCE! Milczenie! Aparat otwarty! Głos mają tylko aktorzy.

Mały mansardowy pokoik. Jusof jest młodym artystą muzykiem. Dziś właśnie dostał pierwsze engagement do wytwornego lokalu Lido, gdzie będzie miał sposobność zarobić paręset franków i dać się poznać. Wrócił przed chwilą z tennisu z młodą uroczą miss Glyn, która kocha go i od kilku miesięcy opiekuje się nim. Glyn wie, że Jusof nie zapomniał jeszcze o tamtej. Ofiarowała mu się jednak bezinteresownie, wierząc, że przyjdzie dzień, kiedy Jusof zapomni o tamtej i ją pokocha. Dziś rano były same wielkie zdarzenia: Paweł dostał pierwsze engagement i wreszcie powiedział Glyn, że ją kocha. — Jest uczciwym chłopcem i długo badał siebie, czy może szczerze wypowiedzieć to słowo. — A ona — spłoniona, szczęśliwa, wyszeptała mu, że spodziewa się dziecka. Paweł płacze ze szczęścia — tańczą dokoła stołu, jak dzieci. Zaraz jutro się pobiorą, jutro! I oto siedzą w jasnych, tennisowych strojach przy herbacie — szczęśliwi i promienni. Paweł wierzy, że uśmiechnęła mu się lepsza gwiazda.

— Zaczniemy nowy, słoneczny rozdział — mówi Jusof głośno pierwsze słowa roli.

Nagle przy drzwiach powstał gwar. Gdzieś w dali rozległ się stłumiony krzyk. De Rola dał znak operatorowi i poruszył kilkakrotnie wargami...

W obrębie jarzących się jupiterów stała lady Sylvey w szenszyllowym płaszczu, mrużąc oczy. Jusof zatrzymał się. — Nadaremnie lady Sylvey szukała wzrokiem jego oczu. Paweł zaczął się wolno poruszać, jak automat, zwracając bezwiednie uwagę na kierunek światła. W głębokiej ciszy działał precyzyjnie, realizując nieuchronnie i nieodwołalnie każdy najdrobniejszy szczegół. Prawą ręką sięgnął po nóż leżący na stole. Jego wygięty grzbiet wyrażał tygrysią drapieżność, błyszcząca stal

zlała się w optyczny akord z zimnym błyskiem oczu. Usta wykrzywił okrutny grymas rozkoszy. Lady Sylvey padła cicho na dywan z przebitą piersią, z niewydobytym krzykiem przerażonej rozpaczy.

W następnych sekundach i minutach wypadki potoczyły się taką lawiną, że wszyscy stracili głowę. Przytomność zachowali tylko lekarz pogotowia, który skonstatował śmierć lady Sylvey, oraz policjanci.

— — — — — — — — — — — —

„Paris Soir" podał dokładny przebieg przewodu sądowego. Ława przysięgłych uwolniła od winy i kary Pawła Jusofa, skazując na rok więzienia, z zawieszeniem wykonania wymiaru kary, reżysera wytwórni Colison et Co. — de Rola. W motywach tego nieoczekiwanego wyroku zaznaczył sąd, że Paweł Jusof, z natury miękki i wrażliwy, od samego początku nie traktował swej gry jak zawodowy aktor, lecz przeżył przed objektywem powtórnie najistotniejszą część swego życia. Moralnym sprawcą zbrodni był de Rola. — On bowiem mocą swego wpływu, jaki często wywiera reżyser na aktora — narzucił Jusofowi koncepcję mordu. Idea zemsty, początkowo Pawłowi zupełnie obca, drogą wielokrotnie powtarzanej sugestji zaczęła wnikać do jego duszy, osadzać się i nawarstwiać. — De Rola tylokrotnie zmuszał Jusofa do grania owej fatalnej sceny, aż wydobył z niego pozytywną reakcję: świadomość, że takie załatwienie tej sprawy jest dobre i zgodne z jego przekonaniem. Paweł nie uważał bowiem epilogu scenarjusza za literaturę; przeciwnie, ustosunkowywał się do niego, jako do jednej z możliwości zlikwidowania swej miłości do Soni, którą okazała się tragicznie zmarła lady Silvey. De Rola, w celu osiągnięcia pełni artystycznego wyrazu, dążył i wydobył z Pawła Jusofa drogą uporczywej sugestji, że koniec scenarjusza został przez niego z pełnem przekonaniem zaadoptowany jako własny pogląd.

Sąd paryski dopatrzył się w powyższem przymusu moralnego i na tej podstawie uniewinnił Jusofa.

Dr Gleowitz zeznawał jako świadek. Najprawdopodobniej był w zmowie z de Rola, zapewniwszy go uprzednio, że nic mu nie grozi.

W kilka miesięcy po opisanych wypadkach Paweł Jusof popełnił samobójstwo w Lyon'ie.

NASZA WIELKA ANKIETA.

TYP KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ.

Jaką ona jest i jaką pragnąłbym ją widzieć?

Ankieta nasza rozpoczęta w nrze 8 Magazynu „As", spotkała się z silnem echem u szeregu wybitnych przedstawicieli literatury i sztuki. Odpowiedź na nią każdy z nich ujmuje oryginalnie, ujawniając najbardziej charakterystyczne cechy swej mentalności.

Tym razem przynosimy zdania dwóch wybitnych reprezentantów naszej literatury, a mianowicie p. Kornela Makuszyńskiego, którego samo nazwisko starczy za rękojmię ciekawej i oryginalnej odpowiedzi, oraz znanego powieściopisarza p. Tadeusza Dołęgi-Mostowicza; wkońcu opinję znakomitego artysty, p. Jerzego Leszczyńskiego.

Mistrz humoru polskiego, jak zwykle, tak i tym razem poważną tę kwestję potraktował... z uśmiechem. Oto co pisze:

Kornel Makuszyński.

Jest to pytanie podstępne, które spokojnego człowieka może wplątać w piekielną awanturę. Kobiety mogą zapytać wręcz każdego uczestnika ankiety: „— Co to pana obchodzi i jakiem prawem ślepy ma gadać o kolorach? Jesteśmy, jakiemi chcemy być, a jest to nam całkowicie obojętne, jakiemi nas pan widzieć pragnie. Pilnuj pan swego kopyta!". — Wzmianka o kopycie może mieć na myśli apellesowego szewca, ale równie dobrze konia, albo osła. Dlatego nie mam zamiaru brania udziału w tej uroczystości. Trudno jest o odpowiedź roztropną w dwudziestu wierszach druku, a odpowiedź zlekka głupawa, narazi niefortunnego speca od spraw kobiecych na śmiech, urągowisko i na tak zjadliwe uwagi w dodatku kobiecym, że lepiejby mu było, aby się był nie rodził.

Poco te rozważania? Kobieta sama doskonale wie, jaką jest i sama tego nie wie, jaką będzie jutro? Skąd ja mam wiedzieć lepiej? Męska megalomanja przekonana jest, że nic łatwiejszego, jak rozwikłać takie zagadnienie. Boże, Ty mój! Kobieta uśmiecha się, czytając nawet potężnych filozofów, którzy chcieli zajrzeć do jej duszy, jakże się musi śmiać szatańsko, czytając, co o niej bredzi byle łapserdak taki, jak my wszyscy, przekonani, że smętna para spodni daje nam przywilej zajmowania się jej ziemską karjerą i objawienia swoich uprzejmych życzeń, tyczących się jej przyszłości. — „Pragnąłbym, aby kobieta i t. d.". — Pragnienia te równie tyle zajmują kobietę, co dziurawa pończocha z lewej nogi. A ja nie mogę odmówić im wielkiego w tej mierze rozsądku. — „Pragnąłbym mieć mądrą głowę!" — powiedział raz kapelusz. Nie chcę być starym kapeluszem i ukrywam moje pragnienia.

Zostawmy przeto kobiety w spokoju, w tem głębokiem przekonaniu, że serce kobiece, najczulszy instrument na tym grubym, niezdarnym, męskim świecie, wie o tem najlepiej, dlaczego kobieta jest taką, jaką jest i podszepnie jej wporę, jaką ma być jutro?

I jeszcze jedno: nie należy takich pytań zadawać ludziom żonatym. Pan redaktor daleko, a żona blisko.

Bardzo ciekawem jest zdanie jednego z najznakomitszych artystów scen polskich p. Jerzego Leszczyńskiego, który dobrze znając nietylko współczesną kobietę, ale też niezliczone bohaterki, żyjące jedynie na deskach scenicznych, jest wyznawcą ideału dawnej kobiety.



Kornel Makuszyński.
Fot. Schabenbeck, Zakopane.

Jerzy Leszczyński.

— Aczkolwiek pięć krzyżyków mam na karku ale to nic nie szkodzi, nie jestem kobietą i mogę mówić szczerze. Nie jest to wiek, który dałby mi



Tadeusz Dołęga-Mostowicz. *Fot. „As".*

pełne prawo do uważania siebie za stuprocentowego konserwatystę.

Tak, jak z miłą zawsze chęcią wracam do starego teatru, pod każdym względem, tak samo ideałem dla mnie kobiety zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, moralnym jest kobieta dawna.

Bo przyjrzyjmy się kobiecie współczesnej. Stara się ona ciągle poprawiać naturę, co jest najgorsze, bo natura nie znosi żadnych poprawek. Utleniona, z wyskubanemi, cienkiemi brwiami, umalowana, ćmiąca papierosy i goląca wódę, jak huzar, przesadzająca cokolwiek w sportowych wyczynach, (których nie neguję bynajmniej, bo sam jestem starym sportowcem, który zbierał wawrzyny w całej prawie Europie za tenis i szermierkę; przed 35 laty wygrałem w Warszawie pierwszy konkurs szermierczy i tenisowy), współczesna kobieta nie zyskuje ani fizycznie, ani moralnie.

Wracam znowu do sceny. Mimo wielkiego treningu fizycznego, dzisiejsza kobieta nie robi wrażenia kobiety prawdziwej. Dlatego też mnóstwo sztuk z t. zw. wielkiego, romantycznego repertuaru nie ma swoich idealnych wykonawczyń. Śliczna, wysoka postawa, piękny głos, szeroki i malowniczy gest, to wszystko należy już prawie do przeszłości. Ideałem urody są dla mnie kobiety Rubensa, jego żona, którą tyle razy malował, Helena Fourmant.

Jestem szczęśliwy, że taką właśnie kobietę mam przy sobie. Bo moim ideałem kobiecej piękności i tych wszystkich warunków, które trzeba posiadać do odtwarzania wielkich postaci romantycznego repertuaru, jest — moja żona.

Jeszcze inaczej, niż dwaj poprzedni reprezentanci sztuki scenicznej i literatury odpowiedź swą ujął p. Dołęga-Mostowicz, który zagadnienie to, tak głębokie i ponętne, potraktował z wnikliwością, godną powieściopisarza.

Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

— Kobieta jest jak słownik: każdy znajdzie w nim te wyrazy, których szuka. Ułożyć z nich można zarówno hymn pochwalny, jak i zjadliwy epigramat.

Współczesna kobieta, jak i współczesny słownik, nie utraciła nic z dawnego zasobu pozycyj. Podstawowe, istotne ich znaczenie nie uległo zmianie. Przybyło tylko wiele nowych form.



Jerzy Leszczyński *Fot. „As".*

Nie jestem aż takim impertynentem, by szczerze i głośno powiedzieć, co o nich sądzę, ani takim pesymistą, by nie wierzyć w ich przejściowość: — przeminą te i będą jeszcze gorsze.

Na pociechę dzisiejszych kobiet dodam, że cokolwiekby się stało, będą podawane swoim wnuczkom i prawnuczkom na wzór cnót staroświeckich.

Dlatego, jak też i z wielu całkiem prywatnych powodów nie pragnę zmieniać współczesnej kobiety.

W. M.

KLEJNOTY, KTÓRE OPOWIADAJĄ HISTORJĘ FRANCJI

Paryscy złotnicy Mellerio-Meller urządzili ostatnio przy Rue de la Paix wystawę historycznych klejnotów, przeznaczając dochód z niej na cele dobroczynne. Już same osoby tych złotników są do pewnego stopnia częścią historji Francji. Od czasów Franciszka I, t. j. od początku XVI stulecia pracują oni z pokolenia w pokolenie dla arystokracji francuskiej. Z jakąż dumą urządzili ludzie ci swą wystawę bez współudziału muzeów lub innych złotników, tylko własnemi siłami i przy pomocy swej „wysokourodzonej" klienteli, od której wypożyczyli historyczne eksponaty.

Wszystkie klejnoty, zgromadzone na wystawie, świadczą wymownie o rozwoju sztuki złotniczej we Francji i dowodzą wielkiego mistrzostwa, z jakiem już we wczesnem średniowieczu wykonywano różne przedmioty. Na pierwszy plan wysuwają się cenne kasetki emaljowane, w których przechowywano bądźto relikwie świętych, bądź też... biżuterję bogatych dam. Podziw wzbudzają również przedmioty z doby renesansu, świadczące o tem, jak mistrze sztuki jubilerskiej umieli obrabiać różne kosztowne kamienie, aby tworzyć z nich misterne wisiorki, kolczyki, pierścienie i t. p. Tu i ówdzie owe kosztowne kamienie mają kształt głów lwich, ryb, ptaków i t. p.



Rue de la Paix w Paryżu. *Fot. Keystone.*

Najbardziej interesującą jest sama historja wystawionych tu wspaniałych klejnotów, która sama przez się nadaje im specjalną wartość. I tak n. p. między innemi eksponatami „historycznymi" znajduje się wielki, cenny łańcuch na szyję, który nosił ongiś Karol V. Łańcuch ten składa się z 22 ciężkich złotych ogniw, wysadzanych perłami, rubinami i brylantami. Obok owego łańcucha w gablotce wystawowej spoczywa artystycznie wykonany 8-kątny flakon na perfumy, który był własnością króla Francji Franciszka I. (1494—1547).

A oto dalsze eksponaty opowiadają swoje dzieje: jak się z nich okazuje, Djana de Poitiers, przyjaciółka Henryka II, używała przy jedzeniu przyborów, które nie były specjalnie foremne i wybredne, natomiast posiadała dwie wspaniale cyzelowane solniczki ze srebra, które pochodziły podobno z pracowni sławnego Benvenuto Cellini.

Widzimy dalej piękną emalję na zameczku do łańcucha na szyję wielkiego Colberta, tudzież przepiękny zegarek ze złota i emalji, który książę de Richelieu trzymał często w swej starannie wypielęgnowanej dłoni. Widnieją tu dalej cztery złotosrebrne szale, które Ludwik XIV posłał swemu sprzymierzeńcowi Jakóbowi II Stuartowi, tudzież przepięknie cyzelowany dzbanuszek na kawę i cukiernica, któremi posługiwała się przyjaciółka Ludwika XV, Madame de Pompadour. Ileż uroku dodaje tym ostatnim przedmiotom myśl o pięknych rękach ich właścicielki...

Wysoce artystyczną jest waza na zupę, ongiś własność marszałka saskiego, syna Augusta Mocnego. Waza ta zrobiona jest z najcieńszej chińskiej porcelany, oprawnej ażurowo w złoto. Zaciekawienie budzi też tabakiera z szyldkretu z oprawną w perły podo

W SERCU PORTOWEGO OLBRZY
Fragment nowożytnej dzielnicy Mar
Fot. Presse Photo





Srebrna żardiniera na owoce, przedstawiająca okręt, robota z XVI wieku (ze zbioru hr. Guy de Leusse).

Na prawo: Naszyjnik złoty z emaliją, wysadzany bogato rubinami, który należał do Henryka III, króla francuskiego i polskiego, na co wskazuje biały orzeł, emaljowany. (Ze zbiorów pani Sauphar).

bizną Fryderyka Wielkiego, który posłał ją w darze posłowi francuskiemu, markizowi de Pons.

Wśród „historycznych" eksponatów oglądamy dalej cenny ołówek złoty, wysadzany brylantami, który król Ludwik XVI ofiarował swemu „strażnikowi szatni", księciu de la Rochefoucauld. W rodzinie tego ostatniego cenny ów przedmiot pozostał do dnia dzisiejszego. Najpiękniejszy może w tych zbiorach krzyż z brylantów należał ongiś do nieszczęśliwej królowej Marji Antoniny, podobnie jak i guziki brylantowe, tudzież piękny naramiennik z kamei. W jej też posiadaniu znajdowały się inne cenne przedmioty: miniaturka z portretem, zawierająca na odwrotnej stronie kosmyk włosów królowej, przytrzymany brylantami. Klejnot ten podarowała królowa Marja Antonina księżnej de Lamballe, podobnie jak hrabinie de Vandeuil ofiarowała piękny pierścień z miniaturowym zegarkiem. Inny znów pierścień, znajdujący się również na wystawie, z podobizną Delfina otrzymała hrabina des Isnards, wychowawczyni królewskich dzieci.

Najhardziej może wstrząsającem wspomnieniem losów rodziny Ludwika XVI jest dość niepozorny przedmiot ze złota. Jest to zabawka dziecięca w postaci dwu cienkich, spojonych z sobą przy pomocy śrubki płytek, które otrzymały później nazwę „emigrette". Zabawkę tę można porównać do nowoczesnego „yo-yo". Bawił się nią chętnie nieszczęśliwy Delfin jeszcze w więzieniu. Obraz w muzeum w Auxerre wyobraża właśnie małego księcia z ową zabawką w ręce. Późniaj dostała się ona w posiadanie młodego hrabiego de Noinville, a dziś jest własnością hrabiny de Niel.

Także i z doby napoleońskiej pochodzi wiele eksponatów, zebranych



Ludwik XIV, król francuski, według współczesnego portretu.



Puhar srebrny z płasko rzeźbami z XVI w. (Ze zbiorów p. Stan. Lanis).







Na prawo: Sztych, przedstawiający panią de Pompadour, według portretu F. Boucher, oceniony na 18.000 franków (ze zbiorów antykwarjatu Ulrico Hoepli, Medjolan).

Szkatuła emaljowana z minjaturami, przedstawiającemi widoki Paryża, z r. 1827. (Ze zbiorów Etiennede Beaumont).

na wystawie w Paryżu. Udowadniają one, że sztuka zdobnictwa straciła swój dawny blask w owej epoce, w której przenoszono ciężkie półszlachetne kamienie ponad blask brylantów i rubinów. Z epoki tej pochodzą garnitury z misternie zresztą rżniętych i oprawnych malachitów, agatów, korali i turkusów. Okazały naszyjnik z turkusów, otoczonych brylantami, nosiła Stefanja de Beauharnais, wielka księżna badeńska. Bogaty garnitur malachitowy należał do królowej Hortensji, siostry cesarza Napoleona. Obok powyżej wymienionych, widnieją tu też różne podarki Napoleona dla Józefiny.

Wśród wielu bogatych naczyń srebrnych z doby cesarstwa najbardziej wzrusza zupełnie zwyczajny mały imbryczek na kawę, z rączką z kości słoniowej. Zabrał go ze sobą Napoleon na wyspę św. Heleny, gdzie przed śmiercią podarował go swemu wiernemu druhowi gen. de Montholon, w którego rodzinie pamiątkowy ten przedmiot znajduje się aż do obecnej chwili.

Interesująca wystawa budzi refleksje nie tylko o wielkich wybitnych osobistościach z minionych stuleci. Rozmaite zebrane przedmioty opowiadają też o starych, a osobliwych zwyczajach. I tak np. duży puhar srebrny bez nóżki musiał być wychylany jednym haustem. Inny znów ozdobiony jest wiatraczkiem, który poruszał się pod wpływem oddechu pijącego. Przy obracaniu się wiatraczek ten puszcza w ruch małą igłę, która pokazuje na tabelce, jaką siłą ma oddech pijącego, ile zatem puharów może on jeszcze wypić. Tak to zabawiano się podczas uczt w XVI stuleciu.

Z tej samej epoki pochodzą osobliwe puhary „narzeczeńskie", przedstawiające dwie osoby, których podniesione ramiona tworzą wielkie ucho. Puhar większych rozmiarów przeznaczony był dla narzeczonego, mniejszy dla narzeczonej. Widnieją też na wystawie wielkie okręty srebrne, których używano do zdobienia stołu biesiadnego, a które czasami równocześnie służą za flaszki. Ciężkie w etuis skórzanych przechowywane przybory do jedzenia przypominają, iż w czasach Ludwika XIV. każdy biesiadnik musiał przynosić z sobą swój nóż i widelec...

Pokazane na wystawie różne przybory do podróży dają pouczający rzut oka na obyczaje dawnych czasów. Zwraca uwagę wielki czerwony kufer skórzany, który posiadał Ludwik XV, gdy był jeszcze księciem d'Anjou. Kufer ten zawierał wewnątrz sakiewki, używane przy grze. Były one tak zrobione, iż partner mógł zawsze wiedzieć z kim gra, orjentując się po odwrotnej stronie sakiewki, na której widniały wyhaftowane herby. Obok herbów Ludwika XV i jego małżonki, córki króla polskiego Leszczyńskiego, widnieją herby księcia Orleanu, ówczesnego regenta i jego syna, księcia de Chartres. Także i księżna de Noailles, która była żoną naturalnego syna Ludwika XIV, tudzież córka Ludwika XV, Madame Adelaide, widnieją w tym zbiorze.

Całe pełne przepychu życie dworskie minionych stuleci zmartwychwstaje przed naszemi oczyma na tej wystawie. Wiele chwały i triumfów, ale też wiele cierpienia i nieszczęść zawisło nad temi klejnotami, które tu dziś tak cicho spoczywają w szklanych gablotkach.

E. Luart (Paryż).

ZWYCIĘZCA NURMIEGO STAN. PETKIEWICZ MÓWI:



Od lewej: Petkiewicz, Kusociński i Nurmi na bieżni w Warszawie.

„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu".



Stanisław Petkiewicz po powrocie do kraju. Fot. „As".

Koleje życia Stanisława Petkiewicza tego znakomitego szybkobiegacza, zwycięzcy Nurmiego i niedoszłego olimpijczyka są istotnie niezwykłe.

Urodził się i wychował w Rydze. — Tam skończył gimnazjum i tam poraz pierwszy przed 11-tu laty, jako 16-letni chłopiec wystąpił na bieżni. Pierwsze zawody, w których brali udział uczniowie gimnazjum, nie przyniosły mu sukcesu. W biegu na dystansie 1 km. zajął czwarte miejsce. Dopiero później, okazując coraz większy talent zaliczony, został do lekkoatletycznej reprezentacji Łotwy i wówczas poraz pierwszy przybył do Warszawy, ażeby wziąć udział w międzynarodowych zawodach z Polską. W biegu na 5 km. zwyciężył dziś już nie żyjącego Freyera, w którym sport polski pokładał tak wielkie nadzieje. Niedługo potem opuszcza Łotwę na zawsze i przenosi się do Polski. Bez trudności uzyskuje też obywatelstwo i od tej chwili sława jego, jako znakomitego lekkoatlety rośnie.

Szczytowym punktem Petkiewicza było nieoczekiwane dla całego świata sportowego zwycięstwo nad Nurmin we wrześniu 1929 roku. Jest tylko trzech biegaczy, którzy mogą się poszczycić pokonaniem genjalnego Fina; są to: Niemiec Pelcer, Finn Ritola i Petkiewicz. Tylko im trzem udało się w ciągu 12 lat karjery genjalnego biegacza pokonać „niezwyciężonego". To zwycięstwo zdobyło Petkiewiczowi imię w całym świecie. Pozostając w świetnej formie, bierze udział w meczach międzypaństwowych, odnosząc zaszczytne sukcesy. Startuje w Nowym Jorku i Bostonie i na sześć startów zwycięża pięciokrotnie. Potem jeszcze przez dwa lata odnosi duże sukcesy. Aż wreszcie w związku z rozmaitymi zarzutami natury sportowej, stawianemi przez kluby i organizacje, Petkiewicz zostaje zdyskwalifikowany. — Usunięty z klubu, uznany za zawodowca, musi przerwać tak wspaniale się zapowiadającą karjerę sportową i szukać innych dróg i możliwości.

Wyrok o dyskwalifikacji został ogłoszony 3 kwietnia 1932 roku, a w dwa dni później Petkiewicz wraz z żoną opuszcza Warszawę, udając się do Genui. Tam wsiada na pokład transatlantyka pasażerskiego „Duilio" i płynie do Ameryki Południowej.

— *Wyrok, uznający mnie za zawodowca, a więc przekreślający karjerę sportową był ciężkim ciosem.* Opowiada nam o tym przełomowym, najdramatyczniejszym momencie w swojem życiu, Stanisław Petkiewicz.

— *Takiego wyroku oczekiwałem po wytoczeniu zarzutów i sformowaniu oskarżenia, które — mojem zdaniem — nie było poparte wystarczającemi rzeczowemi dowodami. Zrozumiałem wówczas, że trzeba szukać nowych dróg i rozpocząć wszystko od początku. Zdecydowałem się opuścić kraj i szukać szczęścia za oceanem. W wielką podróż do nieznanych krajów wyruszyliśmy z żoną z bardzo skromnymi środkami. Gdy wysiedliśmy na ląd w Buenos Aires, pozostało nam akurat tyle, by przetrzymać parę tygodni. — Przez krótki czas pracowałem dorywczo w konsulacie polskim, ale gdy to się skończyło zostaliśmy prawie bez środków do życia. Wtedy to powziąłem śmiałą myśl założenia własnego przedsiębiorstwa.*

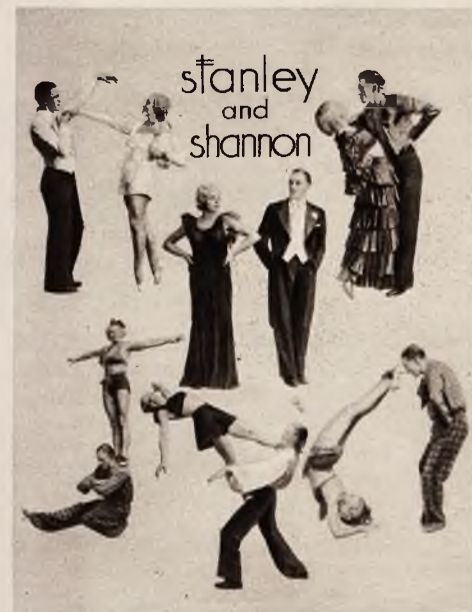
W ten sposób za pożyczone pieniądze powstała w Buenos Aires mała fabryczka trykotaży pod firmą Stanisław Petkiewicz. Pracować trzeba było w niej po czternaście godzin na dobę, a dochody mimo to były znikome. Produkcja trykotaży nie opłacała się.

Petkiewicz znów zmienia zawód. — Z fabrykanta zostaje tancerzem kabaretowym. Wykorzystując talenty swoje, oraz żony, występuje po kilkumiesięcznych przygotowaniach na parkiecie jednego z najbardziej renomowanych w Buenos Aires dancingów. Duet „Stanley and Shannon" zdobywa sobie wkrótce powodzenie. Angażują ich do najmodniejszego dancingu „Novelty", gdzie m. in. występował również słynny gwiazdor filmowy Ramon Novarro.

„Stanley and Shannon" produkują się później w Monte Video, Rio de Janeiro, Sao Paolo i Santiago de Chile.

Kontrakty kończą się, wizy wygasają i trzeba myśleć o powrocie do Europy. Nagle rozpoczęta karjera tancerza równie szybko zostaje przerwana. Jeszcze kilkadziesiąt występów w Hiszpanji i Petkiewicz wraca z żoną do kraju. Zawód tancerza traktuje on jako przejściowy. Chce wrócić na bieżnię, ażeby zmierzyć się z najznakomitszymi zawodowcami świata. Planuje podróż z Nurmin do Ameryki.

— *Wyrok organizacyj sportowych z 1932 roku wykoleił mnie i pozbawił równowagi, której do dzisiaj odzyskać nie mogę. Rozpoczęta przed trzema laty tułaczka po świecie nie jest jeszcze skończona...* — kończy swe opowiadanie zwycięsca Nurmiego. *W. M.*



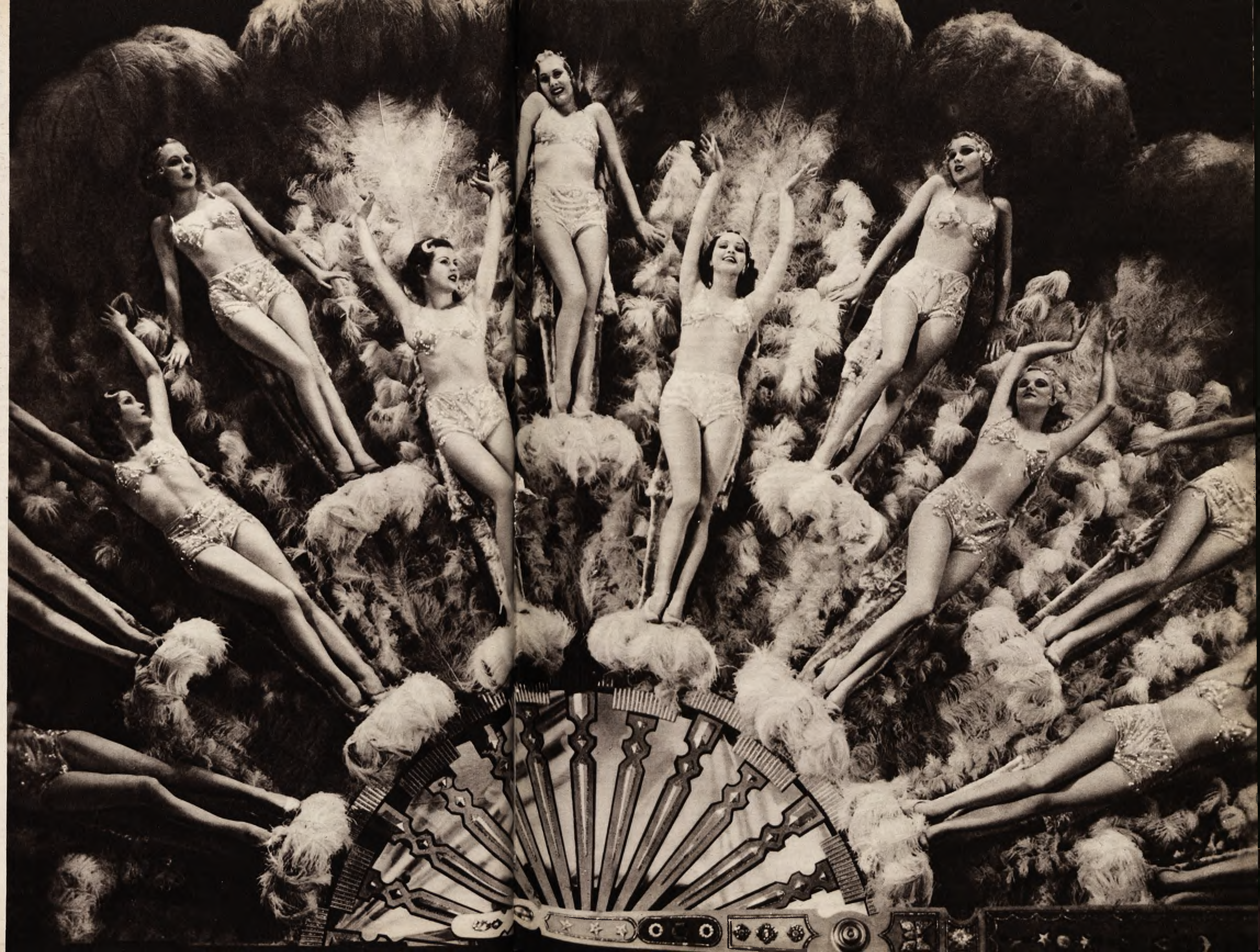
Fotografja reklamowa Petkiewicza i jego żony jako duetu tanecznego „Stanley and Shannon" z czasów ich występów w Południowej Ameryce.

WACHLARZ SUŁTANA

Paryż jest siedzibą najsłynniejszych teatrów rewjowych świata i mimo wielkiej konkurencji tego rodzaju imprez amerykańskich, dzierży nadal prymat w dziedzinie najbardziej luksusowych i oryginalnych przedstawień.

Znajdą się zapewne tacy, którym może zaimponuje więcej gigantyczny program takich kolosów, jak nowojorski „Earl Carrol", lub „Radio-City", a wkońcu i słynne „Ziegfield Folies". Jednak i oni, jeśli bodaj raz zakosztowali tej wzrokowej biesiady, zatęsknią wkońcu do prawdziwej bajki, jaką na swych deskach wyczarowuje niemal w każdym programie takie „Casino de Paris", lub „Folies Bergères" — prawdziwe świątynie francuskiego *esprit*, ujętego w ramy wyszukanego artyzmu.

Na zamieszczonem obok zdjęciu widzimy jeden z najoryginalniejszych obrazów paryskiej rewji zatytułowany „Wachlarz Sułtana", w którym klejnotami są kobiety, odznaczające się naprawdę wyjątkową urodą. **Fo**



„STRASZNY BÓR"

Ziemia, której niema na mapach...

.. *płynęliśmy mimo słońca w półmroku przez zielone tunele drzew...* *Rys. J. M. Brzeski.*

Łódź motorowa, przedarłszy się przez gąszcz oczeretów, wyminąwszy jeszcze jeden kanał wody czarnej i cichej, zaryła się dziobem w grunt mglisty, z którego sterczały pnie olch, dawno umarłych, o koszmarnych kształtach konarów i korzeni...

Pięć godzin na „pełnym gazie" motorku, przez kolumnady puszczy, pięć godzin przemykania ścieżynami, któremi tylko zwierz półbłotny, brodzący się snuje, pięć godzin bez słońca, które, zasłonięte koronami drzew, gdzieś tam hen ponad nami płonęło zapewne na lipcowym błękicie nieba... Płynęliśmy w półmroku, pogrążeni w praborze jakimś dziwnym, w półcieniach zieleni, w atmosferze wilgotnej, nasyconej zapachem iłu, traw i ciszy... ciszy nieprawdopodobnej, zdawało się wszystko snem. Ranna toaleta w zamku, łazienka wykładana kaflami holenderskiemi, stare bronzy jadalni i wyfraczona służba, sunąca bezszelestnie po dywanach wielkopańskiej rezydencji. A teraz pra-bór, prapuszcza, gdzieś z dorzeczy Missisipi czy Missuri... Co jest snem, a co rzeczywistością? Od balsamicznych oddechów tej wodnej puszczy w głowie powstaje dur... powstaje majaczenie...

Jeszcze tam we wspomnieniach błąkają się szare sylwety wsi Otwierżyce, a potem łódź wpadła w spokojne koryto Szwy... i świat cały zaginął.

Gdzieś za nami zostały w dali miasta, dwory i pałace. Teraz jest tylko puszcza dzika, stopą ludzką nietknięta. Jest tylko Straszny Bór.

* * *

Zdawało się fantazją i nieprawdopodobieństwem. A jest rzeczywistością. Polesie, prowincja Polski, kraju środkowo-europejskiego, posiada rezerwaty, nietknięte nogą człowieka. Obszary, których nikt nigdy nie widział, las, którego nie tknęła zaborcza siekiera człowieka, ziemia, która nie zaznała brutalnej pieszczoty pługa.

Czy ziemia? Raczej trzęsawisko... Czy bagno? Nie, raczej substancja dziwna, zbyt rzadka, by na swej powierzchni utrzymać mogła człowieka, zbyt gęsta, by mogła przez nią przedrzeć się łódź.

Uroczysko... Tak lud poleski, w podszepty swych oczeretów zasłuchany, miejsce podobne nazywa. Uroczysko... uroczne miejsce, którego dniem i nocą unikać lepiej należy, siedziba czarta, kłębowisko zdradliwych mgieł, piekło ciszy zupełnej, gdzie nie zawoła żaden ptak, ni w wodzie ryba nie zapluszcze. Ktoś kocioł ten nazwał kiedyś Strasznym Borem.

I tak już zostało. Mapa wydana w roku 1928-ym przez Wojskowy Instytut Geograficzny kreśląca z drobiazgową dokładnością okolice tych ziem, od Strasznego Boru aż po Łubne, zostawia kreskowaną przestrzeń. Mapy wojskowe sztabów armji niemieckiej, znaczące omal że kierz każdy na terenach ziem obcych, białe pole w miejscu tem pozostawiają, ograniczając się do napisu: „Sumpf unbekant". Nieznaną ziemią jest „Straszny Bór"... Nieznaną i niepoznaną... Tylko dniem płynąć można przez labirynty ordynackiej puszczy. Płynęliśmy też pięć godzin w labiryncie wód, których



...od kępy zieleni oderwały się dwa cienie... prychając chrapami sunęły dwa łosie...



Rzeka Lwa u progu „Strasznego Boru".
Fot. Dangel.

nie zna nawet, zrodzony nad niemi, chłop — Poleszuk.

Sunęliśmy, bacznie obserwując drogowskazy, luźnie na gałęziach pozawieszane wiechcie słomy.

W nocy ich nie widać, w blasku reflektora łatwo jeden z nich ominąć, a zabłąkawszy się na tych wodach nietrudno zaginąć.

Bywały już takie wypadki, że chłop za rybą pojechał, „zabadział sia"... i zaginął... W dwa trzy miesiące potem odnaleziono szuchaleję z trupem, które woda naniosła. Płynęliśmy w półmroku, mimo słońca, przez zielone tunele drzew. Czarem coś w wilgoci i cieple bulgotało, małe banieczki wytryskiwały na powierzchnię puszczańskiego świata, walczyły i ginęły. Z chorałem puszczy łączyły się solowe głosy ptaków, niewidocznych dla oka, płochliwych, a świergotliwych. Przed łodzią, znacząc na wodzie ślad srebrną taśmą, wzleciało stado cyranek i poniosło się na rojst zielony zagubiony we mgle. Zielona, żywa, swarliwa puszcza zwolna zostawała za nami. Łódź wparła się w mulisty brzeg Strasznego Boru. Zaginiony świat.

Tu nic nie żyje, nie rośnie; tu zaginęło wszystko.

— No jedziem dalej Wasyl!
— Nie pojedziem panok.
— Dlaczego?
— Tam nikt nie bywa — tam „obojętno" (straszy).

Byliśmy u wrót Strasznego Boru.

Na kilka kroków przed oczami przybysza wystrzelają w górę pnie olch od wilgoci szczerniałe, szare i bezlistne, brodatemi mchami porosłe, pokrzywione i chore, sterczące na podszyciu bagna o suchym oczerecie... Poza niemi, zatuszowane przez mgłę, odłamy karczów i pni.

A dalej już tylko mgła. Unosi się ona latem, jesienią i zimą, od nigdy niezamarzającego bagna, dyszącego ciepłem rozkładu niezliczonych generacyj roślin; zasłania sobą całe kilometry umarłego lasu, stanowiąc jedyną swego rodzaju dekorację grozy.

Obszar, równy niemal zachodnio-europejskim powiatom, niepoznany przez wszędobylskich po bagnach tubylców, zda się być stróżem tajemnicy jakiejś wielkiej, którą mu przekazały zagasłe epoki geologiczne.

Czem jest ta ziemia? Czy dnem jakiegoś olbrzymiego pra-jeziora, czy zarosłym przez zgnilec roślinny jakimś głębiowym kraterem tej ziemi, o której wogóle tak mało wiadomo?

W epoce okupacji niemieckiej, wszystko wiedząca komenda garnizonów, zniósłszy się z centralą w Berlinie, zorganizowała ekspedycję dla zbadania tego dziwnego zakątka.

Ruszyły motorówki, dźwigi i sondy, pontony, liny i deski. Ruszyli też odbywający służbę wojskową profesorowie, w swych charakterystycznych rogowych okularach. Zdumiony, a cichy spoglądał chłop poleski na dziwy ekspedycji niemieckiej, która się Strasznego Boru nie ulękła.

— A wot chytrje... wiadomo i luftmaszyne wzdumali, ali i tak Strasznego Liasa nie projdut!

Niemcy z właściwą sobie systematycznością wzięli się do dzieła.

Przybywszy z całą aparaturą, zaczęli wiązać jeden ponton do drugiego... coraz to dalej w bagniste uroczysko. Wszystko szło dobrze aż do granicy Strasznego Boru.

Z chwilą, gdy łączyć zaczęto w głąb uroczyska dalsze pontony, te pod ciężarem desek i ludzi zaczęły grzęznąć w miazgę podszycia i z głośnym bulgotem wchłonięte zostały w bajurę.

— A wot taki i niepierechytryli!

Smutny beznadziejnie jest obszar ogromny tej umarłej ziemi. Nie żyją tam ptaki i żaden głos życia stamtąd nie dolata.

Siedzieliśmy na łodzi cisi i zadumani.

Spojrzałem na mego kolegę Szwajcara redaktora „Neue Züricher Zeitung".

Siedział blady i skupiony. Po raz pierwszy był na Polesiu i po raz pierwszy widział puszczę. Wpadł w nią wprost z asfaltów Paryża i Berlina.

— Wissen Sie, hier ist es greulich...
— Ten las nazywa się też Strasznym Borem.

Zabłąkany od puszcz zielonych, zakołysał się nad nami, na tle zamglonego nieba wielki czarny krzyż sylwetki puszczańskiego orła.

Wokół nas piętrzył się we mgle wieczystej Straszny Bór.

* * *

Legenda ludowa wsi i zaścianków okolicznych ziemię tę, obcą i niezbadaną uważa za siedzibę nieczystych.

Tam to zginął przecie stary Arsen Miodarz, król bobrowych kłusowników, on, któremu nie dały rady ni policja rosyjska, ni władze polskie, on, który znał każdy kanał, ścieżynę i każde „chody" łosia. Poszedł w bór i nie powrócił więcej.

Tak mu sądzone było, a djabeł Wodiany, co tam mieszka, zatłamsił Miodorza, mszcząc się za ryby, które mu łowił.



Poza kolumną zamarłych drzew, osłonięty mgłą wieczystą duma „Straszny Bór"...
Fot. Dangel.

O Hospodi!!! O Wielikij Hospodi!!!

Przecie tam zaginęła Anulka, jedyna córka, krasawica u gajowego Anatola, bogata jedynaczka zginęła! Gorzej niż zaginęła. W Straszny Bór po jagody poszła, choć maty prosiła „nie hodi Anula". Widać tak przeznaczone było. Coś takiego tam zobaczyła, że teraz bez rozumu po lasach chodzi i rzeczy takie opowiada, że grzech słuchać.

Straszny Bór!!!

Pachciarz Ajzyk, co po wsiach jeździł i ludziom różności sprzedawał... pojechał... i śladu ni po nim ni po koniu, ni wozie nie ostało się.

Bór broni swych tajemnic, topi, umysł miesza, zabija!!!

Postanowiliśmy zawrócić. Łódź sunęła cicho bez motoru, znoszona spokojnym prądem rzeki Lwy.

Daleko za nami pozostało wrogie życiu uroczysko; przed nami puszcza święciła gody rodzenia i radości.

Od kępy zieleni nadbrzeżnej oderwał się ciemny masyw, bryła stworzenia i ze stękiem, rozpryskując wodę naokół, runął do wody łoś.

Zły ze spłoszonego, poobiedniego snu, niechętny dziwnemu przedmiotowi, na którym wyczuł ludzi. Prychając chrapami, sunął zwinnie i lekko, unosząc nad wodą ciężki swój łeb. On, pan i senator tej kniei, rosochaty łoś.

* * *

W zaborczym swym pochodzie przez glob ziemski zdobywa człowiek piędź po piędzi terenu i zna już niemal wszystkie ziemi tajemnice. Uczonym geologom i geografom znany zapewne jest dobrze tak Straszny Bór jak i Mankiewiczowska Puszcza.

Tobie zaś czytelniku, nie wiem czy obca jest — czy pełna tajemnic i nieznana.

Czyś widział orła, szybującego nad umarłym lasem? Czyś w wieczór wrześniowy podsłuchiwał miłosnych stęków łosia? Czy wiesz, jak na niebie czernią się, zlatujące na bagna tysiące cyranek? Jeśli ten szkic o Strasznym Borze wskazał ci drogę do tajemnic kniei — pójdź tam — a powrócisz rozkochany w niej tak, jak ja.

Nasz Konkurs na NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH!

W poprzednim numerze (8-ym) naszego Magazynu rozpisaliśmy **„Konkurs na Najpiękniejszy Uśmiech"** i wyznaczyliśmy następujące nagrody: **W grupie pań:**

I. Minjatura „laureatki" w wykonaniu znakomitej minjaturzystki, p. Kazimiery Dąbrowskiej.

II. Kryształowa zastawa na toaletę. III. Piękna torebka skórzana. — **W grupie panów:**

I. Portret „laureata" w wykonaniu znakomitego portrecisty, Stefana Norblina.

II. Aparat fotograficzny. III. Piękna laska-parasol.

W myśl wstępnych warunków Konkursu Czytelnicy „Asa", zarówno panie, jak i panowie zaproszeni zostali do nadsyłania fotografij swych ujmujących uśmiechów. Zdjęcia, odznaczające się nienaganną techniką wykonania, a zakwalifikowane przez jury redakcyjne, będą kolejno przez nas zamieszczane.

Szczegółowe warunki Konkursu zostaną podane w następnym numerze „Asa". *Redakcja.*

NAJPIĘKNIEJSZY „SALON" POLSKI.

Napoleon, pierwszy urbanista Paryża, słusznie nazwał Plac św. Marka w Wenecji, najpiękniejszym salonem świata.

Gdybyśmy szukali architektonicznego odpowiednika w Polsce, to niewątpliwie znajdziemy go, w potężnym czworoboku patrycjuszowskich domów i arystokratycznych pałaców, skrywającym szacowną kasetę-skarbiec dzieł narodowej sztuki. To rynek krakowski, obramiony renesansową attyką szczytów domów. W architektonicznej symfonji Sukiennice, to motyw główny, marjackie iglice, to mocne muzyczne akcenty, a frontony domów, to harmonijne akordy tego artystycznego utworu jakim jest krakowski rynek.

Czech, Niemiec, oraz Italji. Zpoczątku ustawiano na rynku namioty, później kramiki według pewnego planu w dwa rzędy. Środkiem osi dzisiejszych Sukiennic, wytyczono ulicę kramików. Za króla Kazimierza Wielkiego zbudowano dwa piętrowe budynki, Jeden wagi miejskiej, drugi dla podstrzyżyn owiec. W r. 1390 według planu mistrza Marcina Lindintolde wybudowano halę długości stu dwudziestu metrów, a szerokości trzynastu m. niby to główną nawę kościelną. Szkarpy z iglicami podpierały sklepienie i ozdobione były iglicami, oraz herbami państwa polskiego. Po zewnętrznej stronie murów, ciągnęły się, niby dwie boczne nawy, rzędy kramików.

ku Siennej. — W ciągu wieków wokół Sukiennic narastały rudery, szpecąc gmach. Dopiero w roku 1875 staraniem dr. Józefa Dietla przystąpiono do restauracji Sukiennic, wykonanej pod kierunkiem arch. Tomasza Prylińskiego, przy wybitnym współudziale Jana Matejki i arch. Rudzkiego. Koszta odbudowy ukończonej w r. 1879 wyniosły 500.000 guldenów.

Na załączonym sztychu, pochodzącym z r. 1863 widzimy stan Sukiennic w okresie poprzedzającym restaurację. Po odnowieniu Sukiennice otrzymały nową organiczną całość, w której łatwo odnajdujemy elementy zarówno z epoki gotyckiej jak i odrodzenia.

Przykro, iż restaurując Sukiennice

Rynek krakowski w roku 1863. →





Rynek krakowski w roku 1935. ←

Nieodrazu zbudowano ten plac.

Na początku był kościółek św. Wojciecha, zbudowany w XII wieku pod murami miasta u wylotu ulicy Grodzkiej, na wzgórzu, które już od wieków zapadło się wskutek nalotu kilkumetrowych warstw ziemnych.

W r. 1257 geometrzy wytyczyli place i ulice nowego miasta, zamkniętego pasem fortyfikacji dziś w planty zamienionym.

Historja rynku, to historja krakowskich Sukiennic!

Warto ją pokrótce sobie uprzytomnić. Od najdawniejszych lat założenia miasta zajeżdżały do Krakowa bryki, ładowne węgierskiem winem, cudownym gdańskim bursztynem, suknem z

Dnia 3. listopada 1555 r. pożar zniszczył niemal doszczętnie budynek. Natychmiast na polecenie władz miejskich zabierają się do roboty Włosi, majster murarski Pankracy i mistrz Jan Marja Padovano, zwany de Mosca. Podniesiono gotyckie mury, oparto na nich beczkowe sklepienie, szczyty murów ozdobiono attyką z rzeźbionemi maszkaronami, postawiono schody, prowadzące na pierwsze piętro i podtrzymujące złamany daszek loggii. Zręczne jońskie kolumny otrzymały kapitele zakończono kamiennymi garnuszkami, podtrzymającemi drewniane wiązanie belkowego poddasza. W tym roku staraniem rajcy Ciepielewskiego urządzono przechód z ulicy Szewskiej

zapomniano o ratuszu krakowskim, po którym pozostała jako piękne wspomnienie, zaledwie smukła, piękna wieża. Rząd domów i pałaców o indywidualnych architektonicznych charakterach, oczyścił nasz wiek, z nalotu reklamowych blach i wystawowych dobudówek, przywracając pięknym portalom i obramieniom okien dawny, szlachetny wygląd. Dziś cieszyć się możemy jedynie z dodatnich rezultatów współczesnej urbanistycznej higjeny, natomiast smuci nas fakt, iż do tego najpiękniejszego polskiego salonu wtargnęło kilku nowobogackich intruzów, strojących dziwaczne grymasy zarówno w budowli przy linji A-B, jak i narożniku Marjackiego Placu.

m. d. d.

EKSELENCJO, PODANO DO STOŁU!



Marsz. Piłsudski i min. Barthou



Sir John Simon podczas obiadu.



Litwinow jest smakoszem.



Gandhi pije swą ulubioną herbatę

Od chwili, kiedy wielkie konferencje międzynarodowe stały się modą we współczesnej dyplomacji, stoły restauracyjne, nakryte białą serwetą, grają conajmniej równie dużą rolę w losach narodów, jak stoły z zielonem suknem w salach konferencyjnych, lub też biurko ministra i ambasadora założone aktami.

Wielkie zagadnienia, naokoło których rozgrywają się losy narodów, znajdują swoje rozwiązanie między podaniem sera a owoców. Współczesne konferencje, pełne przyjęć, obiadów i bali przypominają żywo czasy kongresu wiedeńskiego, kiedy to dyplomacja europejska posługiwała się w wysokim stopniu tymi towarzyskimi atutami celem skaptowania sympatji i wygrania rozpoczętej partji.

Gdy francuski minister spraw zagranicznych ma do rozwiązania trudny problem z reprezentantami obcych państw, w dziewięciu wypadkach na dziesięć zaprosi swych kolegów na przyjacielskie śniadanie, lub kolację, do sali jadalnej na Quai d'Orsay, jeżeli jest w Paryżu, lub do swego hotelu, jeżeli przebywa w Genewie.

Arystydes Briand spopularyzował tę metodę w dyplomacji powojennej, w czem zresztą przypominał swego poprzednika na fotelu ministra spraw zagranicznych, „szczwanego lisa", który umiał służyć wszystkim reżimom, ks. de Talleyrand. Briandowskie śniadanie „europejskie", jakoteż przyjęcie w Thoiry, na którem był równie Stresemann, należą do historji i stały się niejako szkołą dyplomacji. Jeżeli następcy Brianda, czy to będzie Herriot, Barthou, lub Laval, mają inne ideały polityczne, to jednak wszyscy zgodni są, jeżeli chodzi o dobry stół i użycie go w celach dyplomacji.

Dyplomaci francuscy nie lubią powziąć jakiejkolwiek decyzji nie zjadłszy i nie napiwszy się dobrych rzeczy. Obcy mężowie stanu dobrze znają ten stary zwyczaj dyplomacji francuskiej i gdy prowadzą negocjacje z Francją stosują się do tej metody. Tak się też dzieje, że gdy dyplomaci brytyjscy przybywają do Francji znajdują zawsze sposobność, aby swoich francuskich partnerów zgromadzić poza zadymioną atmosferą sali konferencyjnej, przy stole Jego Ekscelencji ambasadora Jego Królewskiej Brytyjskiej Mości.

Jeżeli Francuzi nie lubią wyrzekać się godziny śniadania lub kolacji nawet podczas najbardziej ważnej konferencji, to angielscy mężowie stanu obserwują ściśle pory, kiedy piją herbatę.

Nieraz widziałem w Genewie jak p. Henderson, w owym czasie brytyjski minister spraw zagranicznych i z tego tytułu przewodniczący rady Ligi Narodów, wstawał o godzinie punkt piątej od stołu podczas najbardziej gwałtownych debat i kierował się do bufetu Ligi Narodów, aby tam w zupełnym spokoju wypić szklankę herbaty. Trzymał się tych „zasad" również będąc przewodniczącym konferencji rozbrojeniowej.

Lecz Henderson nie jest wyjątkiem. Również dla sir Johna Simona godzina herbaty jest nieomal święta. Jeżeli konferencja jest bardzo pilna pije herbatę stojąco, w każdym razie jednak nie zaniecha jej. Oczywiście, że i inni mężowie stanu brytyjscy postępują w ten sam sposób.

Poza herbatą Anglicy umieją oczywiście również ocenić kunsztownie przyprawione potrawy, jakoteż wina, których przepisów dowiadują się od swych francuskich kolegów.

Jeżeli dla Francuzów wina przedstawiają całą gamę możliwości, Anglicy skosztowawszy ich przy jedzeniu bynajmniej ich nie nadużywają. Widziałem jak p. Mac Donald po wspaniałym bankiecie zażądał od maitre d'hotela szklanki wody, aby po ciężkich winach orzeźwić się czystą wodą godną purytanina.

Amerykanie są pod tym względem zupełnie odrębnym typem ludzi. Lubią dobrze zjeść, ale układają menu swych posiłków mało oryginalnie.



Mac Donald kończy obiad — kawą.



Millerand lubi potrawy proste.



Pani Ashby podczas podwieczorku



Schuschnigg pije lemoniadę z szampanem.

Kontentują się zwykle kopjowaniem gustów francuskich. Bardzo chętnie wybierają potrawy, na które przepisy otrzymali od zaufanego maitre d'hotela paryskiego. Napoje mają dla nich znaczenie pierwszorzędne. Delegaci amerykańscy w Genewie odznaczają się wielką pieczołowitością w wyborze win. Nieraz nie posługując się nawet żadnym pretekstem każą sobie podać „whisky and soda", przyczem rzadko poprzestają na jednym kieliszku.

Jaki widać z tego często „esprit" dyplomatyczny pochodzi ze starej, omszałej flaszki!

Niemcy różnią się wysoce od swych kolegów amerykańskich. Nie mogą się oczywiście wyłamać z przepisów etykiety, to też gdy pan Bruening, znany ze swej wstrzemięźliwości, chciał wzmocnić z Litwinowem przyjaźń niemiecko-rosyjską lub gdy zamierzał uczcić 10-lecie traktatu w Rapallo, zaprosił swych gości na obfite śniadanie w guście francuskim. Trzeba przytem zaznaczyć, że Litwinow chociaż jest komunistą, bynajmniej nie gardzi sztuką kulinarną burżuazji i uznaje ją jako prawdziwy smakosz.

Tak długo jednak, jak Rzesza przechodzi kryzys gospodarczy, niemieccy mężowie stanu nie lubią się dać fotografować przy stole, zwłaszcza jeżeli fotografje te mają się ukazać w niemieckich pismach. Nie zapomnieli jeszcze o oburzeniu, które ogarnęło całą Rzeszę w czasie, kiedy Rzesza walczyła na konferencji w Hadze o anulowanie reparacyj, zasłaniając się bankructwem. Pisma opublikowały fotografje, przedstawiające delegatów niemieckich zebranych przy stołach wykwintnie zastawionych z licznemi flaszkami szampana!

Jak z tego widać szczegóły kulinarne nawet w polityce odgrywają dużą rolę i mogą się stać powodem kwasów, choćby obiad był ugotowany jak najstaranniej!

Specjalnością Niemców w Genewie jest restauracja „Bavaria", Wprowadził ją w modę Stresemann, gdyż podczas swych licznych podróży nad jezioro Lemańskie nigdy nie omieszkał wypić kilku kufli dobrego monachijskiego piwa w tej restauracji i nieraz przyjaciel jego Briand, który nie lubiał piwa musiał z rezygnacją towarzyszyć swemu koledze.

Możnaby dużo powiedzieć o dyplomatach innej narodowości naprzykład o Włochach, którzy cokolwiekby o nich mówiono, jedzą... nietylko sam makaron, lub o Chińczykach i Japończykach, którzy z niebywałem poświęceniem wyrzekają się swych potraw narodowych w restauracjach genewskich, zadowalniając się śniadaniem jak wszyscy śmiertelnicy.

Możnaby mówić o południowych Amerykanach, którzy jedzą bardzo dużo, lecz równocześnie są wielkimi smakoszami, o Hiszpanach, łączących dobry apetyt ze sztuką doboru potraw, o Skandynawcach, którzy nie uważają na nuance kulinarne, starając się, aby potrawy były obfite i niezbyt oryginalne.

Francuska metoda „dyplomacji kulinarnej" stosowana jest również przez mężów stanu Małej Ententy, nie umieją oni jednak posługiwać się nią z taką finezją jak Francuzi. P. Benesz, który jest nadzwyczaj wstrzemięźliwym w jedzeniu nie dorównuje bynajmniej ministrowi Titulescu, który jest istnym mistrzem w zapraszaniu gości. Będąc nadzwyczajnie czynnym i zajętym, tak, że nieraz niema czasu zjeść pierwszego śniadania w swoim hotelu i kawę pije w kuluarach Ligi Narodów, rozmawiając równocześnie o problemach Europy centralnej, lub o Grand Chaco, rozdwaja się nieraz i umie tyle osób zaprosić na śniadania, że go podejrzewają, iż zjada jednego dnia kilka śniadań, aby móc dotrzymać towarzystwa osobom zaproszonym.



Minister Laval załatwia ważne sprawy podczas śniadania



Tardieu i H. Pathé omawiają sprawy państwa.



Ambasador włoski Grandi ma zawsze doskonały apetyt.



Titulescu w otoczeniu swych ministrów przy stole.



Herriot ze swą nieodłączną fajką, w gronie przyjaciół odpoczywa po trudach konferencji.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 9 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Jeżdżąc konno, tańcząc, oglądając sobie tulipany, podróżując i wciągając młodych ludzi w dziwne przygody, poznawszy ich w „Złotej Strzale", musi pani znajdywać w życiu wiele uroku.

Teraz znów ona wybuchnęła śmiechem.

— Dlaczegóż nie robić z życia jednej wielkiej przygody? — zapytała. Niektórzy ludzie starają się znaleźć powód do życia w samych sobie. Ja znów żyję dlatego, że kocham poprostu życie! Jest ono przecież takie ekscytujące! Niech pan spojrzy na te wspaniałą czerwień tulipanów naprzykład! Czyż nie jest to samo w sobie warte, aby żyć i aby to zobaczyć?

Spojrzał się na tulipany i z jakiegoś niewytłumaczonego powodu był o nie zazdrosny. Nazywał siebie w myśli warjatem, szalejącym z miłości. Zdawało mu się, że Helena jakgdyby się przymilała, gdy mówili o wspaniałym widoku, jaki mieli przed oczyma. Już Chesham miał na języku szereg zakochanych i niekonsekwentnych słów, gdy zauważył coś, co przykuło jego uwagę.

Niedaleko nich stało dwóch ponuro wyglądających ludzi, którzy jednak nie zwracali bynajmniej uwagi na tulipany, lecz patrzyli się na Cheshama wzrokiem, który wyrażał wielkie zainteresowanie i pieczołowitość.

Ludzie ci należeli do Scotland Yardu.

— Oni wszystko nam psują — rzekł z niechęcią Chesham, gdy Helena zamierzała iść dalej. Nie mogę nawet zatrzymać się, aby popatrzeć na tulipany, aby oni czegoś nie podejrzewali.

— Nie przypuszczam, aby należeli do ludzi, których wzrusza widok tulipanów — zaśmiała się Helena.

Idąc wolno parkiem przeszli koło gigantycznej statuy Achillesa i wzdłuż drogi otoczonej zielenią, którą wspaniałe i kosztowne samochody przejeżdżały majestatycznie. Kilka osób siedziało na zielono pomalowanych krzesłach, przypominając zgubione dusze na Polach Elizejskich.

— Wszyscy siedzą plecami do tych pięknych kwiatów — zauważył Chesham. Jak pani widzi, wielu ludzi zupełnie nie troszczy się o piękno.

— Nic dziwnego — odparła Helena, wskazując na siedzących — gdyż życie ich jest ciężkie i szare. To samo i panu może się zdarzyć, gdy pan nie będzie miał pieniędzy i przyjaciół.

— Tak i mnie się powodziło, gdy wszedłem do „Złotej Strzały" w Dover owego popołudnia. I nie miałem ani pieniędzy, ani przyjaciół.

— Czy to było naprawdę tak przykre? — zapytała.

Potwierdził kiwnięciem głowy.

— Nieraz życie jest tak ciężkie, że wtedy trudno jest zachwycać się tulipanami, gdy żołądek dopomina się o swoje prawa.

Helena westchnęła.

— Robi pan wrażenie, jakgdyby pan nienawidził moich tulipanów.

Potrząsnął głową.

— Nie proszę pani, nie jest to nienawiść, tylko poprostu złe sumienie. Czuję się nieswój na widok takiej piękności na świecie, który jest jednak bardzo brzydki. — Zastanowił się chwilkę. — Dlatego też czuję się z panią tak jakoś dziwnie".

— Dziwnie ze mną? — zapytała zaskoczona.

— Bo pani zawsze jest taka urocza, — rzekł uprzejmie. Widział jak zbladła nieco i dodał. — Może nie powinienem był tego mówić pani.

— Byłabym rozczarowana, gdyby pan tego nie powiedział, — rzekła młoda dziewczyna, lekko się uśmiechając.

Nastąpiła chwila milczenia. Szli wolno obok siebie i zbliżyli się do Bramy Marmurowej, stanowiącej wejście do parku. Liczne auta wjeżdżały przez nią z Oxford-Street. Zapach spalonej benzyny walczył o lepsze z zapachem świeżej trawy — i benzyna zwyciężała.

Jak zwykle tak i tym razem w tym kącie Hyde Parku zgromadzone były grupki skromnie ubranych ludzi, przysłuchujących się przemówieniom przygodnych mówców, stojących na ławkach. Te grupki tworzyły jak gdyby czarne plamy na tle wiosennego słońca, promieniejącego w parku. Zachrypłe głosy dolatywały z tych zgromadzeń, które znaczyły się zdala czarnemi kapeluszami i czapkami.

— ...Dzień sądu jest bliski, a wy o czem myślicie w tej chwili? Czem jesteście obecnie zajęci? Pozwólcie, że wam powiem. — Głos mówcy kładł specjalnie silny akcent na te słowa. — Nie możecie brać grzechów na wasze sumienia i odejść z nimi. Musicie zapłacić i to srodze...

Chesham zauważył wyraz twarzy mówcy, którego słyszał głos. Była to twarz szara, chuda, pełna smutku, z gorejącymi oczami, a ubrany był w zniszczony, czarny płaszcz.

— Zdaje mi się, że jestem grzesznikiem równie jaskrawym jak czerwona krew lub tulipany, gdy słucham tych ludzi, — zauważył Chesham. Mam wrażenie, że mógłbym się stać takim jak oni, gdyby nie grzechy.

Helena zaśmiała się.

— Nie uważam, aby to było z pańskiej strony bardzo pięknie!

— ...Rewolucja, krwawa rewolucja, oto czego się doczekamy w naszym kraju. Dziwię się, że lud nasz nie wie, że siedzi na górze z dynamitem. Tak, lada iskra gotowa jest rozdmuchać ogień i wysadzić nas wszystkich w powietrze.

Głos stawał się namiętnym i wybuchowym.

— Teraz zaczyna to być naprawdę ciekawe, — uśmiechnął się Chesham i postąpił w kierunku grupy ludzi. I znów zobaczył takąż głodną i nędzną twarz. Wszyscy ci demagogowie mają takie twarze. Szeroko otwarte usta ukazywały poczerniałe zęby, lecz właśnie dzięki swemu wyglądowi i intonacji głosu mówca trzymał swych słuchaczy w napięciu. Chesham stanął wśród tłumu.

— ...Widzicie jak chodzą oni do teatru i restauracyj — mówił agitator, — dobrze odżywieni, nawet przejedzeni zarówno mężczyźni jak i kobiety. O, oni wszyscy są patrjotami, oni wszyscy są wiernymi monarchistami. Wstają, gdy muzyka gra jakiś hymn narodowy i to jest jedyna chwila, kiedy stoją. Ale nauczymy ich również wstawać, gdy orkiestra gra „Międzynarodówkę".

Tłok naokoło Cheshama stawał się coraz większy i w pewnej chwili przekonał się, że Heleny niema przy jego boku. Zamiast niej otaczały go potężne bary kilku tęgich mężczyzn, a również zauważył swych dwóch aniołów stróżów, ludzi ze Scotland Yardu. Utorowali sobie drogę wśród tłumu, idąc za nim.

Nagłym zwrotem odwrócił się, chcąc wyjść z tłoczącej się gawiedzi. Stracił

wszelkie zainteresowanie dla wygłaszającego mowę agitatora. Zdawało mu się jednak w tej chwili, jak gdyby tłum ten nabrał na gęstości i stał się wręcz nieprzenikliwy. Cofając się, nadepnął komuś na nogę.

— Och, — zakrzyknął jakiś mały człowiek, będący typowym burżujem zamięszanym w to zbiegowisko, przysłuchujące się rewolucyjnym przemowieniom — czy pan nie może uważać?

— Nie pchajcie się tak — dał się słyszeć inny głos z tłumu. Lecz Chesham jak mógł tak przepychał się chcąc wydostać się z tego otoczenia, tem więcej, że naraz jakieś niedobre przeczucie odnośnie Heleny go opanowało. Wkońcu wyszedłszy z tłumu, znalazł się pod przestronną Bramą Marmurową.

Nie było ani znaku po Helenie. Kilka minut jeszcze temu stała ona przy jego boku. Zaczął się rozglądać pełen niepokoju. Zniknęła naraz tak całkowicie, jak gdyby ją ziemia pochłonęła. Tymczasem ciągle wjeżdżały i wyjeżdżały auta za żelazne ogrodzenie.

Spojrzenie jego zaczęło szukać po ziemi jakichś śladów. Zadrżał, — gdyż o kilka kroków dalej leżała jedna rękawiczka, którą widział na jej ręku, gdy jechali konno wzdłuż Rotten Row. Podniósł ją i zaraz tysiąc przypuszczeń zakotłowało mu się w głowie. Obawa, że Helenie mogło się coś stać dominowało nad innemi uczuciami. Lecz nawet w chwili, kiedy stał na skraju drogi, trzymając w ręku pachnącą perfumami rękawiczkę, nie mógł zapomnieć o natrętnych opiekunach, którzy przyglądali mu się bezustannie.

Śmiało, porzucając wszelkie inne względy, wzrócił się ku nim.

— Panowie są ze Scotland Yardu, nieprawdaż? — zapytał.

Jeden z nich odrzekł: — Zdaje się, że się pan myli.

— Proszę mnie nie zwodzić, — rzekł rozzłoszczonym tonem Chesham — panowie są ze Scotland Yardu!

Zapytany zmienił ton. — Tak Wasza Wysokość, — przyznał się.

— Była tu ze mną jedna pani jeszcze kilka minut temu, — tłumaczył im Chesham.

Obaj detektywi słuchali z napięciem.

— Czy panowie widzieli jak opuszczała to miejsce?

Detektyw, którego Chesham zapytał potrząsnął głową.

— Widziałem jak wjeżdżała tu limuzyna, wysiadło z niej dwóch mężczyzn, którzy następnie zbliżyli się do tej pani. Po kilku minutach wrócili wszyscy troje do auta, wsiedli do niego i odjechali.

— I pan ich nie zatrzymał? — rzucał się Chesham.

— Dlaczegóż miałbym to zrobić? — odrzekł zapytany. Naszem zadaniem jest pilnowanie Waszej Wysokości, a nie tej pani. Czy się przez to co stało?

— Stało! — irytował się młody Anglik. Ta pani została porwana — oto co się stało. Obaj jesteście kiepskimi warjatami!

Odwrócił się od nich.

— ...Kiepskimi warjatami jesteśmy — kończył mówca swoje przemówienie, tupiąc nogą w ławkę, na której stał. — Tak długo, jak będziemy znosić obecny stan rzeczy, będziemy pastwą sprytniejszych wydrwigroszów!

Lecz Chesham nie słuchał go już, gdyż przywołał taksówkę.

— Picadilly 70 a — rzucił szoferowi. Całym gazem!

Gdy ruszył z miejsca zauważył, że i jego opiekunowie wsiedli w taksówkę.

ROZDZIAŁ XIV.

Gdzie znajduje się Helena?

— Chcę się widzieć z Szefem. — Głos Cheshama brzmiał rozkazująco i nawet Juljan ze zdziwieniem podniósł brwi.

— Obawiam się, że Szef zakazał, aby ktokolwiek przeszkadzał mu teraz.

Lecz Chesham postanowił przezwyciężyć wszelkie trudności.

— Powiedz mu, że mam bardzo ważną sprawę — rozkazał.

Służący patrzał się na młodego człowieka i wyraz jego oczu wkońcu przekonał go. — Jak pan każe, Sir, — rzekł i poszedł. Zatrzymał się przed jednemi drzwiami i zapukał.

— Nie wchodzić — dał się słyszeć głos z wewnątrz, — jestem zajęty. Służący wzruszył ramionami, a następnie znakami dał poznać Chashamowi, że jego starania były bezowocne. Lecz młody człowiek nie zawahał się ani chwili, ujął za klamkę i wszedł do pokoju.

Obraz jaki się przedstawił jego oczom był nieco dziwny. Marek Mann siedział w wysokim fotelu i przyglądał się z niebywałą uwagą licznym krawatkom o bardzo żywych kolorach, które wisiały na rodzaju wieszadła stojącego przed nim. Student medycyny Geoffrey Winterton stał przy nim. Szef nie zauważył, że ktoś wszedł do pokoju.

— Zdaje mi się, że jestem grzesznibym tę czerwoną i żółtą — mruczał pod nosem, — dotykając palcami jedwabiu z wyrazem ogromnego zadowolenia. A może uważa pan, Geoffrey, że należałoby tę tutaj włożyć — zwrócił się do młodego człowieka, przyglądając się pilnie jednej z krawatek.

Młody człowiek będący z Szefem odrzekł po namyśle:

— Oczywiście, że pan ją może nosić, ale jest ona nieco staromodna.

Marek Mann westchnął. — Dlaczegoż wasze wszystkie szkoły przyswoiły sobie najlepsze krawatki? Nic poprostu nie pozostało dla gentlemenów.

Mówiąc te słowa spojrzał na Cheshama. — Robi pan wrażenie, jak gdyby się pan ogromnie spieszył. — O co chodzi właściwie? Czy Scotland Yard postanowił pana zaaresztować?

— Niema czasu na żarty proszę pana — odparł Chesham ponuro.

— Oczywiście, że nie jest to odpowiednia chwila, — zauważył odwracając się od swych krawatek. Proszę mi powiedzieć o co chodzi, choćby to było najgorsze.

— Pańska córka Helena została porwana!

Słowa Cheshama spowodowały istny cud. Postać siedząca w fotelu znękana artretyzmem, wyciągnęła swoje białe ręce i jakaś niebywała siła woli pozwoliła mu stanąć na nogach. Szare jego oczy zaświeciły się groźnie. W chwilę później opadł bezsilnie na fotel.

— Młody człowieku, pan się zachowuje jak obłąkany — rzekł powoli. Co panu każe sądzić, że została porwana?

Chesham wpadł w wielkie podniecenie.

— Przysłuchiwaliśmy się przez kilka chwil przemówieniom przygodnych mówców w Hyde Parku, — tłumaczył Chesham, — gdy odwróciłem się, Heleny już nie było.

Coś jak gdyby uśmiech przebiegł po twarzy Szefa.

— Helena już taką jest — tłumaczył. Gdy zobaczy coś, coby chciała mieć, znika nagle w danym składzie. Znajdzie ją pan tutaj przy lunchu, młody człowieku.

— Ależ ona została wciągnięta do auta przez dwóch mężczyzn, — kontynuował swoje opowiadanie młody Anglik, — przyczem zgubiła ot to, — rzekł, pokazując Markowi Mann rękawiczkę. Szef wziął ją do ręki i zdawał się pieścić ją palcami. Głowa jego ciężko opadła na poręcz fotelu.

— Kto panu powiedział, że Helena wsiadła do auta?

— Moi dwaj opiekunowie ze Scotland Yardu.

— I nie starali się wcale interwenjować?

— Oświadczyli mi, że są jedynie dla mej osobistej straży.

Marek Mann aż podskoczył na swoim fotelu.

Ciąg dalszy nastąpi).



Tłok naokoło Cheshama stawał się coraz większy...

KIEDY

PANI ★ JEST ★ DOBRZE ★ UBRANA



Suknia domowa z wzorzystego jedwabiu o wytwornym kroju.

Przeczytawszy ten tytuł, niejedna Czytelniczka pomyśli:

— Pani dobrze ubrana, to jest ta, która może wydać na ten cel dużo pieniędzy.

Nic fałszywszego nad to pojęcie — do tego wcale nie trzeba mieć dużo pieniędzy, a tylko cudowny dar umiejętnego ich wydawania; znajomości własnego typu, form towarzyskich i wogóle umiejętności rozsądnego zorganizowania sobie spraw toaletowych.

Naogół dobrze ubrane panie często wydają na ten cel niepomiernie mniej pieniędzy niż te, które się ciągle uskarżają na niedobory i braki garderobiane.

Ale pani dobrze ubrana nim coś sobie kupi, bardzo dokładnie to obmyśla — nigdy nie weźmie się na lep „ostatniego krzyku mody" — stara się nie kupować rzeczy bardzo ekscentrycznych, bo wie, że te bardzo łatwo się opatrzą — umie ona wybrać z pośród tego, co jest modne, rzeczy naprawdę ładne.

Kupuje tylko to, co jest dostosowane do jej typu, to też może się pokazać przez cały sezon w jednem i tem samem środowisku, w tej samej sukience lub płaszczyku, ale też są one zawsze nieskazitelnie utrzymane, czyste, odprasowane, bardzo świeże same w sobie i przez umiejętnie dobrane drobiazgi.

Przedewszystkiem jednak umie ona rzeczy nosić na sobie i jest ubrana nawet wtedy, gdy jest rozebrana.

Dobrze ubierająca się pani zna dokładnie formy towarzyskie, zna prawidła, dotyczące ubrania, przywiązane do godzin i okoliczności, wie co odpowiada jej wiekowi, środowisku, w którem się obraca i własnemu stanowisku społecznemu.

Doskonałość swoich poczynań i wyników opiera się nie na ilości pieniędzy, wydanych na ten cel, a na zrozumieniu prawdziwie dobrego smaku i wykwintu.

Dobrze ubrana pani umie wydawać pieniądze na ubranie — nie kupuje przedewszystkiem nigdy tandety — bo wie, że ta w rezultacie zawsze wypadnie drożej i obniża ogólny poziom ubrania.

W szafie Pani dobrze ubranej niema nic niepotrzebnego, niema przeładowania — jest tylko to, co naprawdę jest konieczne — to też Pani ta nigdy nie kupuje za dużo, ale też nie wie ona, co to odmówić zaproszeniu, nie wziąć udziału w jakiejś rozrywce, nie pójść na bal, czy wycieczkę tylko dlatego, że „nie mam co na siebie włożyć".

Pani ubierająca się dobrze, nie lekceważy szczegółów i tyle samo się namyśla przy kupnie kołnierzyka, lub torebki, co i przy kupnie nowego płaszcza.

Pani taka jest zawsze pod bronią — poczucie estetyki i wykwintny wygląd ma we krwi, to, że na nią w danej chwili nikt nie patrzy i nikt jej nie podziwia, nie gra dla niej żadnej roli. W każdej porze dnia stara się ona być jednakowo ładną i wytworną. W czterech ścianach zacisza domowego równie ładnie rysuje się jej sylwetka, jak i na tle sali balowej. Wie ona, co to jest zaniedbanie stroju domowego, donaszanie na „codzień" strojnych sukien lub pantofelków wieczorowych. Sprawa ta prostą ni łatwą nie jest — poprostu na palcach policzyć można kobiety dobrze ubrane, a przecież przy dobrej woli i przy nawet małych środkach każda z nas może zasłużyć na to miano.

Pani dobrze ubrana odznacza się swobodą bycia i harmonją ruchów — poczucie, że wzrok, który na niej spoczywa wyraża uznanie, daje jej w dużej mierze pewność siebie, co również dodatnio się musi odbić na jej wyglądzie.

Sprawa ta wcale nie jest tak błahą, jakby się pozornie wydawało — wygląd to bardzo ważny atut życiowy, który łatwiej toruje drogę po twardej grudzie, niż jakikolwiek inny. Trzeba zawsze pamiętać, że kobieta dobrze ubrana, kobieta pewna swego uroku, żąda; kobieta szara, pozbawiona wdzięku: prosi.

A już tak jest w życiu, że żądania są o wiele częściej spełniane niż prośby. Miejmy to więc zawsze na uwadze.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

Zupa wątrobiana. 10—15 dkg wątroby (jakiejkolwiek) zemleć, podsmażyć na maśle z cebulką, przetrzeć przez sito, zmięszać z zasmażką i rozprowadzić rosołem nagotowanym z kości i jarzyn. Dodatek: grzanki.

Zupa szpinakowa. 25 dkg szpinaku ugotowanego przetrzeć przez sito, podsmażyć z łyżką masła i mąki, rozprowadzić rosołem i podprawić żółtkiem i łyżką śmietany. Szczypta soli, cukru i parę kropel soku cytrynowego do smaku. Dodatek: ryż na sypko.

„Pampuszki" do rosołu. Zagotować pół szklanki wody z łyżeczką masła, zasypać mięszając 12 dkg mąki, ubijać na ogniu aż od ścian rynki odstaje. Do ostudzonego ciasta wbić 1—2 jaj, dodać szczyptę soli i ubić doskonale. Łyżeczką kłaść małe kluseczki na rozpalony tłuszcz i smażyć na złoty kolor.

Krokiety z szynką. Zrobić beszamel z łyżki masła i mąki, zalać mlekiem, zagęścić na ogniu, dodać żółtko i 10 dkg siekanej szynki lub wędzonki, wymięszać na gładką masę; w razie potrzeby dodać łyżkę śmietany lub tartej bułki. Z masy tej formuje się małe ruloniki, panieruje w jajku i bułce i smaży szybko na rozpalonym tłuszczu.

Potrawa z marchwi. 1 kg marchwi karłowej oczyścić dokładnie i szybko opłukać, pokrajać i udusić z masłem, następnie przetrzeć przez sito wraz z bułką rozmoczoną w mleku, dorobić smak solą, pieprzem i cukrem, dodać 2 żółtka i pianę z 2 białek, wkońcu 2 łyżki tartej bułki. Masę tę gotuje się na parze w formie wieńcowej przez godzinę. Potrawę, wydaną na okrągły półmisek, nakłada się w środku ryżem, uduszonym z zielonym groszkiem, lub samym groszkiem.

Szpinak zapiekany. 1 kg szpinaku gotuje się z solą bez przykrycia (bo straci kolor) przez 10 minut, wyrzuca na durszlak i przelewa zimną wodą. Odciśnięty z wody, mięsza się go z łyżeczką masła, soli o ile potrzeba i układa w wytłuszczonej i wysypanej bułką formie, zalewa podaną poniżej masą, zapieka przez 15 minut, podaje na stół w formie otoczonej serwetą. Masa: z 5 dkg masła i tyleż mąki, usmażyć jasną zasmażkę, zalać pół szklanką mleka, dodać 3 dkg parmezanu i wymięszać na gładką masę. Następnie domięszać 4 żółtka i pianę z 4 białek. Podaje się szybko, bo łatwo opada.

Sznycelki z płucek. Cielęce płucka, przyprawiane u nas zwykle w kwaskowym sosie, pikantniejsze są, podane w następujący sposób: Ugotowane w małej ilości wody bez jarzyn odcedza się i miele z połówką małej nie moczonej bułki. Następnie dodaje się siekaną cebulkę, usmażoną w łyżce masła, 1 żółtko i 1 całe jaje oraz pianę z 1 białka, soli i pieprzu, formuje małe sznycelki i smaży na gorącym tłuszczu. Potrawa ta nie śmie stać długo po usmażeniu. Sos musztardowy i purée z ziemniaków jako dodatek.

Tort ziemniaczany. 25 dkg. tartych z poprzedniego dnia ziemniaków uciera się z 6 żółtkami i 18 dkg cukru, następnie dodaje 6 dkg łupanych tartych migdałów i 3 gorzkie, sok i łupkę z połówki cytryny, wkońcu pianę z 6 białek i 4 łyżki tartej bułki. Piecze się w miernym piecu godzinę. Podaje się na gorąco, oblane szodonem lub sokiem owocowym.

Legumina z grysiku. Filiżankę grysiku ugotowanego w mleku z wanilją na gęsto, mięsza się na ciepło z 3 żółtkami utartemi z łyżką masła i 8 dkg cukru oraz pianą z 3 białek i trzema łyżkami tartej bułki. Połowę masy wkłada się do formy, pokrywa marmeladą porzeczkową, przykrywa drugą połową, polewa masłem i piecze przez pół godziny. Wyjęte, posypuje się suto cukrem z wanilją. **Sc. Ko.**

NOWOŚCI KUCHENNE.



Na lewo: Sito do przyrządzania kluseczek ma pod spodem duże otwory, leży na deseczce, którą można umieścić na każdym garnku. Ciasto na kluseczki przechodzi przez sito i dostaje się przez ruchome denko do gotującej wody.

Fot. Schostal.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 18 — KWIECIEŃ-MAJ — Dni 30—31
Niedziela **28** Witalisa 25 Nisan	Rosół z "pampuszkami". Sztuka mięsa z sosem szczawiowym. Kura z rosołu. Tort ponczowy. Kolacja: Wędlina z sałatą.
Poniedziałek **29** Piotra 26 Nisan	Zupa pieczarkowa. Potrawa z marchewki. Cielęce zraziki w śmietanie z ryżem. Naleśniki z formy. Kolacja: Krokiety z szynki.
Wtorek **30** Katarzyny Sen. 27 Nisan	Zupa grysikowa. Płatki z kapustą. Siekane befsztyki z sałatą. Krem kawowy z biszkoptami. Kolacja: Jajecznica z szynką.
Środa **1** Filipa i Jakóba 28 Nisan	Zupa z włoskiej kapusty. Szpinak zapiekany. Pieczeń wieprzowa z kapustą. Suszone jabłka w kremie. Kolacja: Gołąbki z ryżem.
Czwartek **2** Zygmunta kr. 29 Nisan	Zupa szczawiowa. Sznycelki z płucek z sosem musztardowym. Pieczeń siekana. Kompot. Kolacja: Jaja na twardo po włosku.
Piątek **3** Konst. 3-go Maja 30 Nisan	Zupa szpinakowa. Paluszki ziemniaczane w pomidorach. Karp w galarecie z sałatą. Tort ziemniaczany. Kolacja: Kaszka krakowska z grzybkami.
Sobota **4** Floriana, Moniki Ijar	Zupa wątrobiana. Jaja w śmietanie. Pieczeń nerkowa z zieloną sałatą i ziemniaczkami. Legumina z grysiku. Kolacja: Jaja faszerowane.

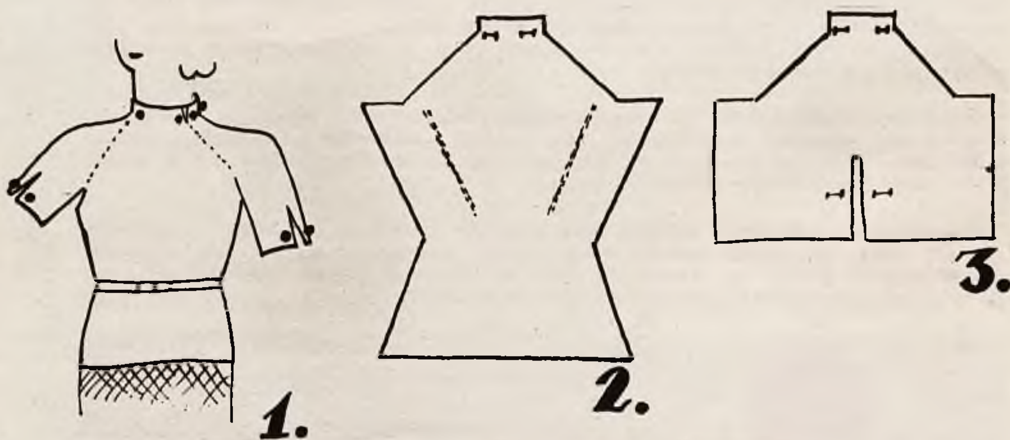
ZROBIĘ TO ★ SAMA

WIOSENNY PULLOWER

Materjał: wełna „Trójkąta w kole", „Elektra" w dowolnym kolorze, druty nr. 3, oraz 12 ozdobnych drewnianych guzików.

Wykonujemy pullower w oddzielnych częściach.

Zaczynamy przód i plecy od dołu, odpowiednią ilością oczek i przerabiamy w rzędach idących tam i spowrotem po prawej stronie wprost, po lewej nawywrót. Z boków ujmujemy po 1 oczku co 5 rzędów do pasa, w pasie przerabiamy gładko na wysokość 7 cm, poczem zaczynamy dodawanie na rozszerzenie górnej części swetra. Dodajemy co 6 rzędów po prawej stronie roboty, przerabiając nowe oczko z nitki pomiędzy oczkami, w dwu miejscach na przodzie i plecach. Raz po 25-tem oczku od lewego brzegu roboty, raz przed 25-tem oczkiem licząc od prawego brzegu roboty (patrz na punktowane linje na schemacie formy). Na wysokości pachy zakończamy po 15 oczek z obu brzegów roboty, a dalej ujmujemy po 1 oczku na początku każdego rzędu do wysokości 2 cm poniżej szyi. Teraz przerabiamy dalej gładko. Po 2 cm. wykonujemy w odległości 8 oczek od każdego brzegu roboty po dziurce na guzik, na którą zakończamy 3 oczka i nabieramy w tem samem miejscu 3 nowe oczka w następnym rzędzie. — Przerabiamy jeszcze równo na wysokość 5 cm i zakończamy wszystkie oczka.



SCHEMAT KROJU PULLOWERA: 1. szkic ogólny. — 2. przód i plecy. - 3. rękaw

Rękawy zaczynamy od góry, tą samą ilością oczek, jaką zakończyliśmy przód i plecy i przerabiamy 5 cm równo, następnie dziurki, jak w przedzie o plecach dalej 2 cm równo, poczem przerabiamy dalej, dodając po jednem oczku na początku każdego rzędu. Gdy skos rękawa równy jest skosowi wycięć na rękaw w przodzie i plecach, nabieramy po 15 nowych oczek z obu brzegów roboty. Dalej przerabiamy równo na wysokość 5 cm, poczem dzielimy robotę na rozcięcie i wykończamy rękaw w 2 częściach.

Teraz prasujemy wszystkie części na wilgotno od lewej strony, a następnie zeszywamy przód i plecy i wszywamy między nie raglanowe rękawy, przyczem pozostawiamy po 8 cm. od góry niezeszyte. Brzegi tych rozcięć obrębiamy na 1 cm na lewą stronę, a górny brzeg na 3 cm. Teraz łączymy nitką wełnianą po 2 guziki i przepinamy je przez leżące obok siebie dziurki, jak widać na rys. I. Tak samo wykończamy rozcięcia na rękawach, dolne brzegi rękawów i pullowera obrębiamy na 3 cm. Jak widać na rysunku, nosimy ten oryginalny pullower z paskiem. Ti.



Na lewo: Magda Schneider, partnerka filmowa Jana Kiepury, w pyjamie plażowej, w której wełniany pullowerek przypomina krojem opisaną w artykule robotę ręczną.

Fot. Glogau — Wiedeń.

PANI I JEJ PIES

W paryskim Louvrze wśród tłumu posągów wydobytych z pod pyłu wieków, które zakryły przed naszemi oczyma słoneczną Helladę, stoi wpatrzona w jej tylko oczom widzialne obrazy przeszłości, grecka bogini polowania. Pęk strzał na prawem ramieniu. Lewa ręka wsparta na główce jelenia, który potulnie stoi przy jej boku. To obok Apollina belwederskiego jeden z najpiękniesjzych pomników sztuki greckiej. Diana zwycięska.

* * *

Wiek romantyzmu, któremu zawdzięczamy pierwsze próby zrzucenia jarzma średniowiecznej ciemnoty w dziedzinie życia kobiety, wprowadził ją na słońcem zalane pola, gdzie wietrzyk powiewa jej lekkiemi szaty, a baranki potulnie patrzą w błękitne oczy igrającej na swobodzie kobiety.

* * *

Emancypacja dzisiejszej pięknej pani przebyła potem długą drogę i zmieniały się jej gusta. Od dawna jednak miała wielkie zrozumienie dla przyjaźni zwierząt, wśród których jeszcze od feudalnych czasów, kiedy to księżna pani towarzyszyła na wielkich polowaniach, pozostał na pierwszem miejscu wierny i przywiązany, pies.



„Tuffy" wypoczywa na łonie natury ze swoją panią, znaną aktorką filmową Madge Evans, i czeka z niecierpliwością na „aport".

Angielscy malarze ukazują nam huczne kawalkady myśliwskie z udziałem pięknych pań. Powłóczyste szaty amazonki, piękne kapelusze z piórami, a wokoło konie i psy.

Kto wie, czy nie konia obrałaby współczesna pani na swego najwierniejszego sługę... Cóż to za piękne tło dla jej młodzieńczej wysportowanej urody. Już amazonka nie krępuje nóg. Wygodne bryczesy pozwalają na dosiadanie konia po męsku. Krótkie włosy pod dżokejką. Zgrabne lakierowane wysokie buciki. Czyż to nie obraz proszący poprostu o malarza? Ale cóż? Piękna pani uwielbia silniejszy pęd. Jeden koń to jej mało. Jednym ruchem włączyć dziś może w swej wytwornej limuzynie setkę rumaków, by użyć ruchu i rozkoszy pochłaniania przestrzeni. Koń, choć nie poszedł do lamusa, stał się przy konkurencji aut — choć to nieco paradoksalne — większym luksusem niż auto.

Drugi natomiast towarzysz polowań pozostał wiernie przy pięknej pani i nie lęka się żadnej konkurencji. To — pies. Nawet do tego auta,





Fox bawi się z zapałem piłeczką.

w którem odbywa pani samotne, ach jakże miłe przejażdżki, piesek jest jedynym dopuszczonym towarzyszem. Jego czujne mądre oczy spoczywają z uwielbieniem na swej pani. Gdy przyjdzie chwila taka, kiedy trzeba koniecznie zwierzyć się komuś z najskrytszych myśli, Gogo czy Dżek umieją słuchać z napiętą uwagą i nie przerywają niewczesnem odezwaniem się... Piękna rączka pani gładzi wypieszczone futerko swego ulubieńca a myśli jej układają się w spokojniejsze tory, łagodnieją uczucia troski czy bólu, wraca zagubiona równowaga.

Po takiej wycieczce „w nieznane" wraca piękna pani z uczuciem ulgi do swych stałych zajęć i obowiązków, a któż ich niema?

Był czas, kiedy pieski, kotki i papużki, to były nieodłączne atrybuty

Na lewo: Miss Toasdale, gwiazda wytwórni „Warner-First National" ze swym ulubionym dogiem. — Poniżej: Zabawna główka scotch-terriera.





Słynna aktorka paryska, Mistinguett, która — jak wiadomo — wcale się nie starzeje, jest wielką przyjaciółką psów.



Powyżej: Jedyna, żywa ozdoba buduaru pięknej pani... — Na prawo: Sealham-terrier towarzyszy swej pięknej pani na ulicy.

t. zw. staropanieństwa. Ale, jak dziś i pojęcie to się zagubiło, tak coraz mniej jest bezmyślnego otaczania się gromadą zwierząt w małem zazwyczaj mieszkaniu. Kulturalna pani, mając starannie urządzony mniejszy czy większy „home", nie poświęci go w całości na jakąś menażerję. Chyba, że mieszkanie pozwoli na taki luksus, jakim jest i nabycie pięknych okazów piesków pokojowych i ich należyte utrzymanie. Bo przecież .aby piesek był naprawdę miły, musi być troskliwie pielęgnowany i musi mieć zapewnioną swobodę ruchów. Musi się wybiegać na swobodzie, musi poigrać ze swymi towarzyszami... a to wymaga znów odpowiedniej służby, bo i na psie towarzystwo ktoś uważać musi.

Gwiazdy filmowe, które ramy swego życia wypełniają wszelkiemi akcesorjami luksusu, mają zawsze obok siebie jakichś ulubieńców z dziedziny fauny. Wśród nich zyskuje palmę pierwszeństwa stanowczo — pies, nieodłączny towarzysz nawet w atelier filmowem. Od miniaturowych pekińczyków do potężnych rozmiarów dogi, znajdziemy wszystkie gatunki psów w takiem Hollywood.

Wszystkie małe pieski są oczywiście najchętniej kupowane, bo duży pies to kompleks nowych zagadnień w domu. A z pośród nich poszedł w zapomnienie jeden szczególnie pięknej rasy — chart.

Być może nie byłby on już tak piękny, jakim widzieliśmy go w towarzystwie kobiet Gibsona o wąskiej talji, długich włosach, długich sukniach z trenami.

* * *

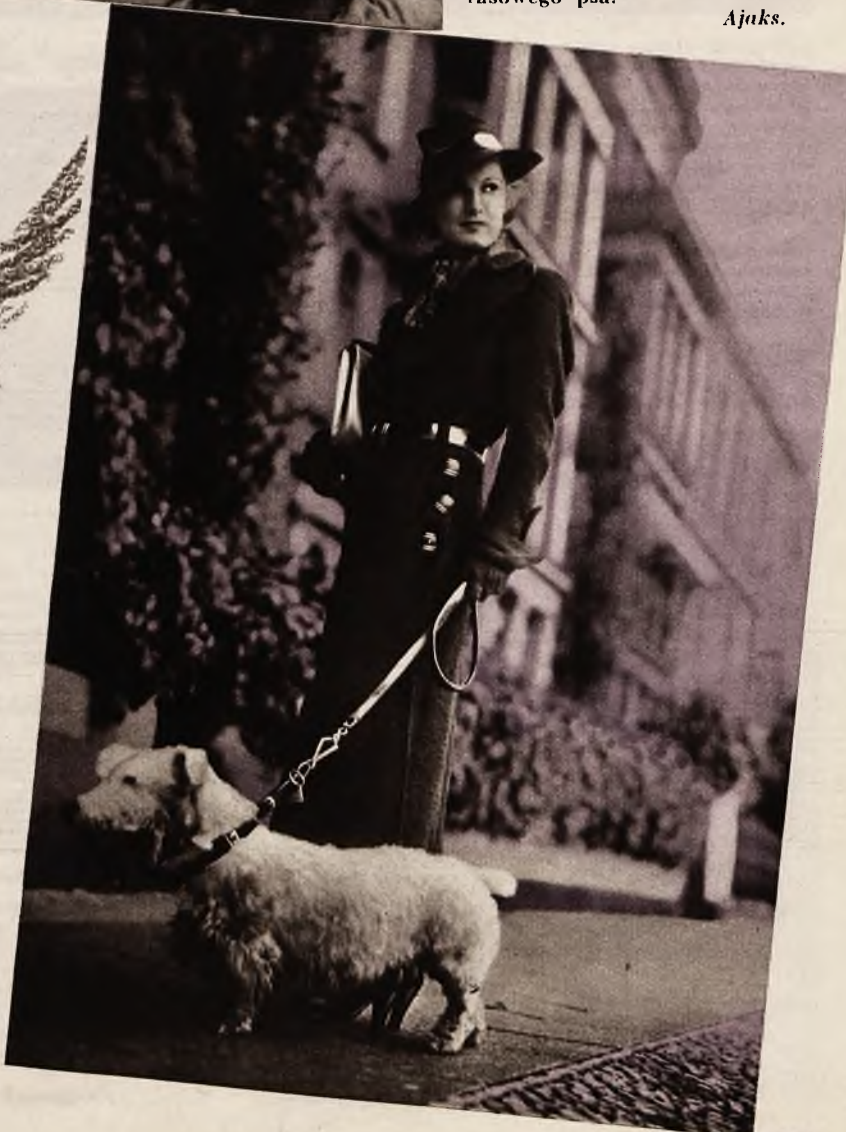
Grecka bogini polowania, Diana, stoi piękna w swej klasycznej budowie ciała, wspierając dłoń na główce jelenia. Nowoczesne Djany nie personifikują polowania mężczyzny, lecz uprawiają misterne łowy na to wszystko, co przedstawia ponętne walory życiowe. A przy ich boku malarz współczesny stawia jakże chętnie pięknego, rasowego psa.

Ajaks.





Na lewo: Znana aktorka angielska, miss Simone Simon ma wiernego towarzysza w olbrzymim dogu... — Powyżej: „Fifi" pinczerek japoński, który na tle śniegu wygląda niczem figurka z lodu, lub cukru.



Życie towarzyskie i artystyczne

Wesoła trójka...



Powyżej: Hanka Ordon i Igo Sym, sympatyczna para artystów, która kreowała główne role w sensacyjnem widowisku teatralnem „Gwiazda maneżu" w Warszawie, przebywa obecnie na tournee artystycznem na prowincji, gdzie każdy ich występ cieszy się zrozumiałem zainteresowaniem.

Na zdjęciu: Hanka Ordon w towarzystwie Igo Syma (na prawo) i pianisty L. Boruńskiego, na spacerze w Łodzi.

Fot. M. Śpiewak — Łódź.

E. Zegadłowicz w Żywcu.



Powyżej: Jeden z najwybitniejszych poetów polskich, Emil Zegadłowicz bawił niedawno temu w Żywcu, gdzie był przedmiotem żywiołowej owacji ze strony tamtejszego społeczeństwa, które na uroczystym wieczorze zgotowało mistrzowi pióra niezwykle serdeczne przyjęcie.

Na zdjęciu: Emil Zegadłowicz (X) w otoczeniu przedstawicieli mieszkańców Żywca, którzy wręczyli poecie piękny haft żywiecki i kwiaty.

Fot. E. Sindek – Żywiec.

„Poskromienie złośnicy" na scenie bydgoskiej



Teatr w Bydgoszczy wystawił ostatnio niezwykle starannie „Poskromienie złośnicy" Szekspira, które cieszy się tam wielkiem powodzeniem. — Na zdjęciu od lewej: pp. Lili Zielińska, Elżbieta Wieczorkowska i Hanka Libicka, doskonałe wykonawczynie ról Bianki, Katarzyny i Doroty.

Wschodząca gwiazda...



Na prawo: Wschodząca polska gwiazda śpiewacza, p. Wanda Kędziorówna, której estradowe występy wzbudziły w kołach muzykalnej publiczności prawdziwą sensację, tak ze względu na walory kunsztu śpiewaczego, jak i wyjątkową aparycję sympatycznej artystki. *Fot. M. Ryś — Poznań.*

Kobieta kapelmistrzem.

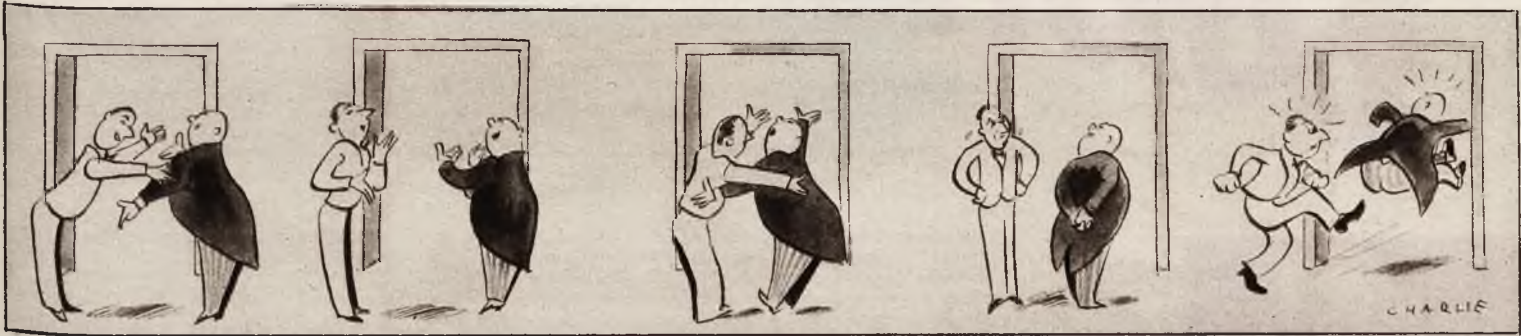


Na lewo: Carmen Studer, żona głośnego muzyka i dyrygenta Feliksa Weingärtnera, dyrektora opery wiedeńskiej, stanęła ostatnio również przy pulcie kapelmistrzowskim. Koncert wiedeńskich symfoników, w którym wzięła ona udział, stał się też dniem jej wielkiego sukcesu.

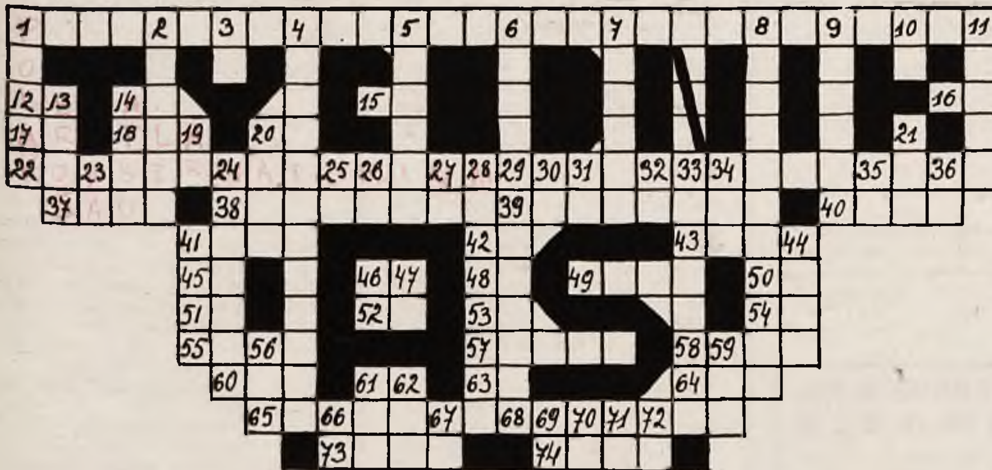
Fot. Atlantic — Berlin.

HOCKI KLOCKI

„BON-TON".



KRZYŻÓWKA. *(Ul. Tadeusz Dęborski, Kraków).*



P I O N O W O:

1. Obywatel państwa środkowo-europ. — 2. powiat w Turcji — 3. „jeżeli" (jęz. mar.) — 4 opisanie skał — 5. służący (+ c) — 6. zbiór wyrazów techn. tej samej dziedziny — 7. powóz — 8. dążący do rozszerzenia — 9. poemacik miłosny — 10. zaimek — 11. stolica państwa bałkańskiego — 13. bóg miłości — 14. część twarzy (wsp.) — 19. miara powierzchni — 20. karta do gry — 21. skrót najw. w Polsce org. narciarskiej — 23. przyimek — 24. inaczej doświadczona — 25. zaimek — 26. bożek egipski — 27. 2 lit. ze słowa „wuj" — 28. materj. fotograficzny — 30. przyimek (j. obcy) — 31. zaimek (j. mar.) — 32. 2 lit. ze słowa „ryż" — 33. działanie matematyczne — 34. skrót polskiego instytutu meteorol. — 35. pytajnik — 36. = 23 — 41. obręcz żelazna (z niemieck.) — 44. inaczej poruszać tam i spowrotem — 46. przyimek — 47. przyimek (j. obcy) — 56. skrót wyr. „adwokat" — 59. liczebnik (wsp.) — 61. zaimek — 62. gniew — (j. martwy, wsp.) — 66. rodzajnik (j. obcy) — 67. znak chem. na krypton — 69. = 23 — 70. = 47 — 71. skrót wydziału uniwersyt. — 72. — przyimek.

P O Z I O M O:

1. inaczej wymuszony, przesadzony — 6. inaczej niewłaściwa — 12. — nuta — 14. bóg egipski — 15. dwie spółgłoski jednak. — 16. aby nie (jęz. martwy) — 17. zam. an dem — 18. stary (j. obcy, wsp.) — 20. = 15 — 22. szkoła muzyczna — 29. inaczej niemiły — 37. — poważna zabawa — 38. zwrócenie reki dłonią na dół — 39. poeta polski XVIII w. — 40. umiera — 41. pali się (wsp.) — 42. 2 lit. ze słowa „gil" — 43. miasto nad Irtyszem — 45. = 12 — 46. odda — 48. = 23 — 49. płaz (wsp.) — 50. 2 litery ze słowa („szyi" — 51. skrót wyrazu „związek" — 52. zaimek — 53. i (język martwy) — 54. dwie jednakowe spółgłoski — 55. — chorągiew (j. obcy wsp. fonet.) — 57. harcerze — 58. dziewiąty ton — 60. skrót wyr „adjutant" — 61. zaimek — 83. 2 lit. ze sł. „jad" — 64. 3 lit. ze słowa „miły" — 65. imię żeńskie zdrobn. — 68. rzeka we Francji (wsp.) — 73. tytuł księcia mahomet. — 74. inaczej pewna (wspak).

Między gentlemenami.



— Więc od trzech dni nie jadłeś obiadu?!...
— Tak, mój smocking jest u komornika...

Tegoroczna moda w Anglji.



...z okazji jabileuszu angielskiej pary królewskiej...

To warto poznać...



Tak się jakoś składa, że w naszych sprawozdaniach z rynku nowości muzycznych omawiany jest najczęściej jazz amerykański i angielski.

Postępowanie to tłumaczy niezaprzeczony fakt, że prawdziwego i wartościowego jazzu poza wymienionymi — niema.

Jazz, który narodził się w Ameryce, pozostał wierny swej Ojczyźnie. Murzyni z Południa, Hawajczycy, wreszcie Amerykanie stworzyli w ciągu lat silne fundamenty pod nową i jeszcze nieskrystalizowaną formę — tej nowoczesnej muzyki lekkiej.

Wartości artystyczne danego utworu czynią, że jest on odtwarzany przez coraz to inne zespoły. Znani dyrygenci orkiestr jazzowych interpretują powyższe utwory, a zważywszy, że są oni niejednokrotnie bardzo utalentowanymi muzykami i wybitnymi kompozytorami — nabiera powyższe często posmaku sensacji. Melomana nigdy nie odstręczy od posłuchania jakiegoś utworu w ciekawem wykonaniu fakt, że słyszał go już poprzednio w innej obsadzie.

J. Hylton, Payne, Armstrong, Ambrose, Ellington, Calloway, Mills i wielu innych mówią nam jasno, jak przebogata jest ich inwencja artystyczna.

Jednym z bardziej znanych utworów jest „Ol'Man Riwer". Utwór ten kompozycji Hammersteina i Kerna słyszeliśmy gdy śpiewali go Rewelersi lub sławny baryton murzyński Robeson. Dziś znajdujemy powyższy utwór w wykonaniu orkiestry Casa Loma, Brunswik A 9614.

Również znany już przebój z filmu „Poszukiwaczki złota" — „Remember my Forgotten Man" znajdujemy na płycie Brunswik A 9430 w nowem wykonaniu orkiestry Hal Kemp.

Siostry Bosvell, które słyszeliśmy w szeregu utworów, śpiewają obecnie kilka nowości. Jedną z nich to „Shuffle off to Buffalo" Fox (Dubin-Warren) odznaczający się piękną melodją i pociągającemi harmonjami. Brunswik A 9449. „Don't let jour love go Wrong" (Whiting - Schwartz - Johnson), to znowu pełna niespokojnego rytmu rumba, również w wykonaniu sióstr Bosvell. Brunswik A 9616.

Fox „Saddest Tale" (Ellington) gra Duke Ellington wraz ze swą orkiestrą rzeczywiście jak „książę". Jest to kompozycja o ponurych rytmach i nastroju „Speak easy" w Harlemie, wielka jak tragedja człowieka i triumfująca jak symfonja. Krótki refren śpiewa Ellington. Szaleńcza rytmika tego szaleńczego Murzyna nie potrafiła być tak niepokojąca i drażniąca w żadnym jego utworze, jak to ciche zawodzenie fletów i saksofonów — pełne szeptów i nerwowych harmonij. — Brunswik A 9657.

(jot).



Teatr lwowski dał ostatnio bardzo ciekawą, zasługującą na poznanie i szersze nawet omówienie, nową inscenizację „Nieboskiej Komedji" Krasińskiego. — Dzieło to tak aktualne i w dniu dzisiejszym daje wielkie pole do popisu współczesnym inscenizatorom i dekoratorom. Obecna lwowska inscenizacja różni się znacznie od znanych nam dotychczas a jest owocem współpracy Radulskiego, Pronaszki i Horzycy. Pronaszko dał niezwykle interesujące wizje sceniczne i plastyczne, Radulski świetnie wyreżyserował zbiorowe sceny tłumu. Widowisko, choć możnaby się nie godzić ze wszystkiemi jego szczegółami, jest potężne.

W Teatrze Letnim w **Warszawie** graną jest teraz zabawna komedja wiedeńskiego autora w przeróbce i układzie muzycznym Hemara. „Muzyka na ulicy". Komedja ta rozgrywa się w świecie tak popularnych grajków ulicznych, a zrobiona jest zręcznie tak, że wszyscy jej wróżą długotrwały sukces, zwłaszcza, że jednego z kapitalnej trójki muzykantów gra niezrównany wprost komik, Michał Znicz.

Teatr im. J. Słowackiego w **Krakowie** dał ostatnio miłe i oryginalne widowisko. Siłami młodzieży szkolnej wystawił kronikę historyczną A. E. Balickiego pt.: „Z żaka król", malującą młodość króla Jana Sobieskiego i poety Kochowskiego na szkolnej ławie krakowskiej. Osterwa i Staszewski wyreżyserowali tę sztukę bez zarzutu, a krytyka przyjęła utwór i grę młodocianych artystów szczeremi pochwałami.

Teatr miejski w **Łodzi** wystawił bardzo stylowo „Cyda" Corneille'a, Wyspiańskiego, a teatr Narodowy w Warszawie występuje z premjerą „Poskromienia złośnicy" Szekspira. Komedję tę gra równocześnie teatr w **Bydgoszczy** i teatr **krakowski**. Każda z inscenizacyj jest inna. Wartoby je porównać. Kto wie, czy nie zwyciężyłaby — krakowska? (swb).



Niedziela, 28 kwietnia.

G. 12.15: Poranek muzyczny z Filharmonji Warszawskiej. — W przerwie: Teatr Wyobraźni nadaje fragment ze sztuki Jerzego Szaniawskiego p. t. „Żeglarz".

17.50: „Urzędnicy i interesanci" z cyklu „Kultura życia codziennego" — wygł. Jadwiga Krawczyńska.

19.45: Podróżujmy „Przez lądy i morza" pogadanka — wygł. Bohdan Pawłowicz.

21.45: Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R.

23.05: Wieczór taneczny w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Poniedziałek, 29 kwietnia.

13.05: Koncert solistów.

16.05: Igor Strawiński: Oktet na instrumenty dęte.

16.45: Kwadrans słynnych artystów — Wolfi (Schneidermann) — skrzypce.

18.45: Melodje z opt. „Bal w Savoy'u" Pawła Abrahama.

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

21.00: Koncert symf. w wyk. Ork. P. R. pod dyr. Grzegorza rza Fitelberga.

Wtorek, 30 kwietnia.

15.45: „Te same melodje — różnie podane" — płyty.

18.00: Koncert Zespołu Revellersów pod dyr. Jerzego Świętochłowskiego (Tr. z Wilna).

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

21.00: „Słodki kawaler" — operetka L. Falla. Wykonawcy: Maryla Karwowska, Ma Gabrielli, Aleksander Wasiel, Petecki oraz inn. Dyryguje Zdzisław Górzyński.

22.45: Koncert muzyki lekkiej w wyk. Ork. P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Środa, 1 maja.

G. 12.05: Koncert Ork. salonowej P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

16.45: Recital Aleksandra Bielakowa.

17.00: „Polityka państw europejskich po wojnie" — wygł. prof. Jan Dąbrowski (tr. z Krakowa).

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

20.15: Wieczór Mickiewiczowski (Tr. z Wilna).

21.00: Koncert chopinowski w wyk. Stanisława Szpinalskiego.

22.15: Muzyka lekka.

Czwartek, 2 maja.

G. 12.05: Audycja dla dzieci. Słuchowisko p. t. „Dwie przysięgi" Kazimierza Konarskiego.

16.45: Kwadrans słynnych artystów — Ignacy Friedman (fort.).

17.15: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Niech żyje cesarz" pióra Adolfa Szyllera.

19.30: Wiadomości sportowe ogólnopolskie.

19.50: Feljeton aktualny.

21.00: Koncert symfoniczny poświęcony muzyce polskiej. Wykonawcy: Orkiestra P. R. pod dyr. Grzegorza Fitelberga.

Piątek, 3 maja.

G. 12.15: Poranek muzyczny z Filharmonji Warsz., Chór dzieci szkół powszechnych (500 osób) pod dyr. prof. St. Kazuro, Irena Gadejska (śpiew), Antoni Gołębiowski (tenor) i Stanisław Nawrocki (fort.).

20.30: „Hallo! tu przecznica" — transmisja z ulicy.

21.40: Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R.

23.05: Muzyka taneczna.

Sobota, 4 maja.

G. 12.05: Muzyka „Z oper G. Puccini'ego" (płyty).

13.30: Duet fortepianowy Wienera i Douceta.

17.50: „Kangur" pogadanka — wygł. dr. Jan Żabiński.

18.00: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko dla dzieci. p. t. „O kapryśnej królewnie i sprytnym szewczyku" Ben. Hertza.

18.45: Melodje z opt. „Kraina uśmiechu" Fr. Lehara.

21.00: Koncert złożony z utworów Aleksandra Greczaninowa w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. kompozytora, z udz. Sergjusza Benoni'ego (bas).

23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.